

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 20 kwietnia 1952 r.

Nr 16 (334)

W NUMERZE m. in.:

J. A. GÓRSKI—O „Listach Nikodema”

Z. WNUCZKOWSKI — Ziemia odzyskana w Planie Sześcioletnim

L. PROROK — Ślad kultu świętego Wojciecha w romantyzmie niemieckim

T. NUCHOWSKI — Widowiska wielkanocne w dawnej Polsce.

W 60-lecie urodzin Prezydenta

PISZĄC z okazji sześćdziesiątej rocznicy urodzin Prezydenta Bolesława Bieruta o jego dokonaniach pisać będziemy jednocześnie o osiągnięciach Państwa Polskiego. Jest to największa wartość pracy Prezydenta, że wyniki jej są zdobyczą całego narodu.

Jest cechą charakterystyczną pierwszego okresu rewolucji pojawienie się dwóch przeciwstawnych tendencji w społeczeństwie: nastawienia produkcyjnego i nastawienia konsumpcyjnego. Geneza nastawienia konsumpcyjnego ma podwójne źródło. Zasadniczym czynnikiem jest tutaj uwielokrotnienie potrzeb konsumpcyjnych szerokich mas, które wyzwalane przez rewolucję chcą natychmiast wydatnie podwyższyć swą stopę życiową. Wtórny źródłem jest zachowanie się przeciwników rewolucji, którzy postanawiają przeczekać „złe czasy”, konsumując jak najwięcej. W takiej to sytuacji aktyw rewolucyjny stawia jedynie rozsądne hasło upowszechnienia konsumpcji na bazie rozbudowanego potencjału produkcyjnego. I tu powstaje nieuchronne starcie się nastawienia produkcyjnego i konsumpcyjnego. Zwycięstwo interesu narodowego może nastąpić jedynie przez odwołanie się do nieprzebranych zasobów ofiarności całego narodu w imię celów ogólnonarodowych. I tu występuje pierwsze osiągnięcie aktywu rządzącego — jego Kierownika Prezydenta Bolesława Bieruta. Mimo zacofania gospodarstwa, mimo niezwykłego powiększenia się stanu zatrudnienia, mimo zachodniej blokady gospodarczej, naród pol-

ski kroczy drogą gigantycznej rozbudowy swego potencjału produkcyjnego.

Historia Polski Ludowej, zapoczątkowana ogłoszeniem Manifestu PKWN, jest wyrazem olbrzymiego wzrostu aktywności Państwa Polskiego w płaszczyźnie międzynarodowej. Konsekwentne pogłębianie sojuszu z ZSRR, wzrost wzajemnej znajomości między narodem polskim i narodami radzieckimi, powodujący ciągły rozwój zaufania, realna i przynosząca obustronne korzyści współpraca we wszystkich dziedzinach polityki międzynarodowej z wielkim państwem narodów radzieckich stanowi zasadniczą przyczynę wzrostu znaczenia międzynarodowego Polski. Drugą przyczyną jest właściwe i upowszechnione już w całym społeczeństwie postawienie zagadnienia suwerenności narodowej i międzynarodowej. Lata ostatnie przyniosły ogromny wzrost uzdolnienia narodu polskiego do działania w płaszczyźnie międzynarodowej przez fakt, że wyzbyliśmy się megalomanii, a nie popadliśmy w rozkład kosmopolityzmu. To właśnie zjawisko przyczyniło się do faktu na pozór paradoksalnego, że nawet przeciwnie nam rządy państw kapitalistycznych traktują Polskę z większym zainteresowaniem i uznaniem i bardziej się z nią liczą niż przed wojną. Umacnimy dobro-sąsiedzkie stosunki z NRD i państwami demokracji ludowej. Międzynarodowa pozycja Polski stanowi drugie osiągnięcie kierowanego przez Prezydenta Bolesława Bieruta aktywu rządzącego.

Rewolucja realizuje się w walce. Przeciwstawiają się jej stare nawyki i przyzwyczajenia, wywołane funkcjonowaniem poprzedniego ustroju. Przeciwstawia się rewolucji mentalność wychowana przez kapitalizm a nawet feudalizm, mentalność która występuje bardzo długo i bardzo często nawet u tych, w interesie których rewolucja bezpośrednio dokonuje się. Przeciwstawiają się jej zorganizowane i niezorganizowane siły polityczne, będące wyrazem oporu klas posiadających. Bezpośrednia wreszcie interwencja wywiadów rządów kapitalistycznych inspiruje akty gwałtu przeciw rewolucji.

Zwycięska rewolucja i siły przeciwstawiające się walczą w jednym narodzie. Walka ta mobilizuje namiętności w skali masowej, przenika do sfery najbardziej osobistych przeżyć jednostki.

I tu występuje trzecie zasadnicze osiągnięcie polskiego aktywu rewolucyjnego, kierowanego przez Prezydenta. Polega ono na wyborze najskuteczniejszej dla rewolucji i interesów narodu formy walki rewolucyjnej, której charakterystyką jest celowość. Jeśli polską rewolucję nazywa się rewolucją łagodną, to oznacza, że polski aktyw rewolucyjny znalazł sposób realizowania swej bezwzględnej wierności rewolucyjnym celom przy przyjęciu założeń budowania socjalizmu z najmniejszymi stratami. O znalezieniu tej drogi zdecydowało w zasadniczym stopniu umiejętne i odważne korzystanie z do-

świadczeń Rewolucji Październikowej, która stanowi podstawową szkołę budowania socjalizmu. Nie chcemy tu twierdzić, że nie ma w Polsce ludzi niepotrzebnie pokrzywdzonych przez sektarstwo pseudorewolucyjne. Napewno są. Ale faktem bezspornym jest, że odstęp ich jest stosunkowo mały, oraz że jest przedmiotem wyraźnej troski aparatu rządzącego, aby odsetek ten się stale zmniejszał.

Na koniec pragniemy dać niedwuznaczny odpowiedź na pytanie, dlaczego z okazji urodzin Prezydenta wypowiadamy się właśnie jako środowisko katolickie w sposób przekraczający deklaratywne życzenia.

Czynimy to dlatego:

że Bolesław Bierut jest Głową Państwa Polskiego i kierownikiem Narodowego Frontu Walki o Pokój i Plan 6-letni, obejmującego wszystkich Polaków, wierzących, jak i niewierzących i że właśnie jako wyznawcy światopoglądu katolickiego chcemy wyrazić nasz podziw i szacunek dla Jego czystej, ofiarnej, ideowej służby interesom całego narodu.

że będąc świadomi odrębności doktrynalnych pragniemy dać wyraz coraz bardziej powszechnemu przekonaniu katolików o konieczności wspólnej walki z marksistami o pokój dla ludzkości, o socjalistyczną przebudowę społeczno-gospodarczych stosunków na świecie, o bezwzględne przestrzeganie służby interesom własnego narodu.

Służyć sprawie Porozumienia

M OGŁOBY się wydawać, że pisanie o problematyce Porozumienia między Państwem Ludowym a Kościołem Katolickim w Polsce jest dziś dla publicysty zadaniem banalnym. Zasady tego układu są już powszechnie znane i, poza wyjątkami, powszechnie docenione. Mamy również za sobą wiele istotnych wypowiedzi publicystycznych na ten temat, tak na łamach „Dziś i Jutro” jak i „Słowa Powszechnego”, a ostatnio i „Tygodnik Powszechny” poświęcił tym zagadnieniom więcej uwagi.

Nim jednak odpowiemy sobie, czy temat istotnie został wyczerpany, trzeba przypomnieć okoliczności, wśród których problematyka Porozumienia rozdziała się i dojrzewała.

Gdy w dniu 14 kwietnia 1950 roku ogłoszony został tekst układu, podpisanego wspólnie przez przedstawicieli Hierarchii Kościoła Katolickiego i Rządu Ludowego — katolicka opinia publiczna podzieliła się na trzy różne odciany:

Jeden z nich przyjął ten akt z całą świadomością, że jest to wielkie osiągnięcie i wielkie zobowiązanie dla katolików polskich. Odcian ten z całą powagą analizował kolejno każdy punkt Porozumienia, widząc w nich filary, na których oprzeć się

winna współpraca i współzycie Kościoła katolickiego z budującym się państwem socjalistycznym. Doceniając powagę różnic światopoglądowych, działaczych założeń marksistowskie od katolickich, kierunek ten świadomie kładł akcent przede wszystkim na tym co obie te strony łączy, w przeświadczeniu, że takie są właśnie chrześcijańskie zasady postępowania. Postawa ta była wyrazem długotrwałych przemysłów i prac ideologicznych, które kazały wielo katolikom zrewidować swój generalnie negatywny stosunek do społecznych i gospodarczych założeń socjalizmu i które przeto kazały stawiać poza tym w dane zadania w stosunku do tego nowego okresu dziejów ludzkości.

Drugi przyjął Porozumienie — jako nieporozumienie. Chcąc być obiektywnym i sprawiedliwym trzeba stwierdzić, że bardzo różne mogły być przyczyny takiego negatywnego stanowiska. Jednym konflikt dwóch światopoglądów przesłaniał całą bogatą problematykę wzajemnych stosunków katolików i marksistów w odbudowującym się kraju. Inni nie znali lub nie rozumieli założeń socjalistycznej przebudowy ustroju społecznego, żyjąc w atmosferze przedwojennej propagandy, fałszującej u podstaw ideę socjali-

zmu, inni wreszcie, a takich było bezwzględnie najwięcej — przeświadczeni o nierozłącznej więzi łączącej ich światopogląd religijny z przedawnionymi formami ustrojowymi, faktycznie utożsamiali religijność z reakcyjnością. Celem dla nich był nawrót do stosunków kapitalistycznych. Sama zasada współzycia i współpracy była im więc obca. Akt Porozumienia był więc dla nich właściwie aktem zdrady w stosunku do ich, opanowanego, rozumienia katolicyzmu.

Była wreszcie trzecia część katolickiej opinii publicznej, która po prostu nie wiele wiedziała o perspektywach, jakie otwierał akt Porozumienia, ani też o okolicznościach, jakie jego ogłoszenie poprzedziły. Zaskoczona takim wydarzeniem, milcząca zdezorientowana, nastawiając ucho jednakowo chętnie w stosunku do reakcyjnych plotek, jak i do najbardziej obiektywnych komentarzy. O tę właśnie część katolików, nie zdecydowanych, nieraz nieświadomych zawiązała się walka między obozem postępowym i reakcją.

Porozumienie nie jest bowiem tylko aktem formalnym, zaopartym w sześć wybitnych podpisów. Porozumienie zawiera w sobie program działania,

od którego realizacji całkowicie zależy postulowane w układzie zgodne współzycie Kościoła i Państwa Ludowego. Warto więc dziś zastanowić się w jakiej mierze prasa katolicka wypełniła swe zadanie mobilizacji katolików wokół zadań Porozumienia, w jakiej mierze przyczyniła się do zdobycia dla tej sprawy właśnie tego biernego, nieświadomego odłamu katolickiej opinii publicznej.

*

Trzeba tu sobie przede wszystkim powiedzieć, że poważne na tym odcinku niedociągnięcia cechował okres wstępny, okres poprzedzający dzień 14 kwietnia 1950 roku. Porozumienie rozdziało się w warunkach trudnych. Celowość tego aktu nie dla wszystkich była od razu oczywista. Wiele było zresztą rzeczywistych trudności, które trzeba było pokonać, nieporozumień, które trzeba było wyjaśnić, nim obie strony mogły dojść do jasno brzmiących sformułowań, zawartych w tym układzie. Okres ten, tak trudny i odpowiedzialny, powinien być jednocześnie okresem wyjątkowej pracy publicystyki katolickiej, by najszerszym kręgiem czytelników pokazać perspektywy współzycia Kościoła

z socjalizmem. Trzeba stwierdzić, że poza „Dziś i Jutrem” i „Słowem Powszechnym”, problematyka ta nie została należycie postawiona na łamach prasy katolickiej. Stąd atmosfera zaskoczenia i zdezorientowania, tak charakterystyczna w niektórych środowiskach katolickich po ogłoszeniu Porozumienia.

Problematyki Porozumienia nie zrodziły żadne polityczne pertraktacje, ani żadne zakulisowe manewry. Zrodziła ją życie. Wolno nam nawet powiedzieć, choć brzmi to patetycznie — że zrodziła ją historia. Ale na to, by tę problematykę na czas dostrzec, trzeba było tę historię właśnie śledzić i prze-myśleć. Trzeba było dziejący się wokół nas nurt rewolucyjnych przemian dogłębnie zanalizować. Prasa katolicka w tym okresie najwidoczniej nie dostatecznie wzięła kurs na współczesność, stąd luki na tak ważnym dla nas odcinku.

Niewątpliwie po ogłoszeniu aktu Porozumienia problematyka ta znacznie poważniej weszła na łamy naszej prasy. Czy jednak została należycie potraktowana?

(Dokończenie na str. 3)

Dorozmawiajmy...

POPRZEDNIA rozmowa, którą toczyliśmy na tym miejscu z naszymi Czytelnikami, była próbą odpowiedzi na trzy listy dotyczące jednej sprawy. Dzisiejsza rozmowa ma być znacznie trudniejsza, ma być bowiem próbą odpowiedzi na dziesiątki i setki listów. Bez przesady. Redakcja nasza — jak prawdopodobnie i kilka innych redakcji w Polsce, jest zasypywana listami poetów in spe. Poważna ilość przesyłek listownych, zawierających pokaźne wybory wierszy a czasami nawet pękate bruliony nabrzmiałe kilkuletnim trudem wierszopisarskim, domaga się komentarza, nakazuje wyciągnięcie kilku istotnych wniosków.

Jest truizmem, że coraz mniej jest ludzi na świecie, którzy nie piszą wierszy. Urok mowy wiązanej dla wielu ludzi podnieconych różnymi ambicjami i różnymi snobizmami staje się czymś w rodzaju tragicznej konieczności podejmowania najczęściej beznadziejnych prób wtargnięcia na parnas. Nie rozpraszajmy się jednak w ogólnikach. Postawmy sprawę konkretnie.

Przez ręce człowieka, któremu zespół redakcyjny wyznaczył zadanie opieki nad literacką stroną pisma, w ciągu jednego roku przechodzą grube dziesiątki, jeśli nie setki listów nakazujących wgląd w cudzą pracę, domagających się oceny tej pracy, wyrażających nadzieje, że praca ta będzie właściwie zrozumiana. Jest dla każdego pracownika redakcji rzeczą zrozumiałą, że każdy z tych listów pisał wiarą i ufnością do ludzi, którzy listy te będą czytali. Jest dla każdego z redaktorów sprawą zrozumiałą, że listy nadchodzące do autorów wierszy drżą niemal w każdym słowie napiętym oczekiwaniem i ciekawością, oczekiwaniem, które liczy każdy dzień zbliżający do upragnionej odpowiedzi, że wiersze są doskonałe, że będziemy je drukowali, że prosimy o dalszą współpracę i bliższy kontakt etc.

Wystarczy w pękatej księdze korespondencyjnej przekartkować kilkanaście listów od niefortunnych kochanków muzy, aby znaleźć potwierdzenie dla powyższego, jakby się wydawać mogło, zbyt patetycznego opisu.

Różni różnie wyrażają swoją wiarę czy po prostu ambicję twórczego uczestniczenia w życiu literackim. Wszyscy odwołują się jednak do sądu, którzy skłonni są uważać za decydujący, wszyscy proszą o szczegółową, wnikliwą i pomocną krytykę. Wszyscy — jak piszą — oczekują jej z niecierpliwością. Często, bardzo często oczekują na to długo, według własnego rachunku na pewno zbyt długo. I najczęściej odpowiedzi jest dla nich rozczarowaniem. Już nie tylko dlatego, że w większości wypadków odmowa, bo tym się nie wszyscy i nie prędko odrażają. Zawsze starczy im siły i wiary na ponowne próby i ponowne wysyłki poetyckie do poszczególnych redakcji. Ale, oto odpowiedź, która miała zawierać wnikliwą, szczegółową, pomocną krytykę, zamyka się w kilku lub kilkunastu zdaniach czy słowach nawet, które na pewno rażą swoim jak gdyby oficjalnym tonem chłodnej grzeczności i nader wstrzemięźliwego zainteresowania. Czekający długie dni na odpowiedź niecierpliwym adept sztuki poetyckiej dowiadyuje się, że „wiersze Pańskie przeczytaliśmy z uwagą, niestety, nie będziemy ich drukowali, ponieważ mimo szlachetnych intencji, utwory Pańskie obciążone są wieloma błędami formalnymi.” W zakończeniu, jak gdyby szablonowo krzepiąca formułka o życzeniu powodzenia w pracy.

Można się domyśleć, że dysproporcja zaangażowania w konkretną próbę poetycką ze strony autora wierszy i ze strony redakcji powoduje zrozumięcie psychologicznie poczucie niemal wyrządzonej autorowi krzywdy. Towarzyszy temu uczucie żalu, zawodu, ogólnego rozczarowania co do funkcji wychowawczej pisma, co do pedagogicznej ambicji zespołu redakcyjnego. Można by wieloma listami udowodnić, że ten opis nie jest przesadzony. Wielu adeptów sztuki poetyckiej pisze gorzkie listy, skarży się na redakcję, czasami nawet w bolesnym i koniecznym akcie samoobrony tryska t. zw. jadem.

Te sprawy psychologiczne da się wytłumaczyć. Nie chodzi jednak tylko w tej chwili o wyjaśnienie natury psychologicznej. Ważniejsze są wyjaśnienia, które raz na zawsze powinny usunąć a w każdym razie zmniejszyć możliwości nieporozumień czy zdrażeń między redakcją i tłumem poetów in spe.

Zostawmy na boku sprawę poziomu i ogólnej miary przeciętnej tej produkcji poetyckiej, która bujna i szeroką falą napływa z różnych stron Polski do pokoju redakcyjnego. Oczywiście, daje się wśród mnóstwa utworów wychwycić od czasu do czasu wiersze nacechowane zapowiedzią talentu lub już rozkwitłe urokami prawdziwej poezji. Chwile takich odkryć są równie rzadkie jak radosne. Najtragiczniejsze w tym wszystkim jest to, że każdy z piszących przypuszcza, iż on właśnie będzie tym, dzięki któremu w pokoju redakcyjnym zaczną się ludzie cieszyć ze szczęśliwego odkrycia.

Tym wszystkim, którzy dowiadują się z pozornie oschłych listów o niezbyt radosnym losie ich pódów poetyckich, chcielibyśmy przekazać jedno zasadnicze wyjaśnienie: redakcja pragnie być między innymi i poradnią literacką, ale zrealizowanie tego pragnienia okazuje się najczęściej niemożliwe. Tylko w sporadycznych wypadkach możliwa jest dłuższa rozmowa listowna. Tylko w wyjątkowych sytuacjach stać redakcję na spełnianie funkcji poradni literackiej. Oczywiście w miarę się powinna ona i starać się spełnić te funkcje, ale nie to jest jej najważniejszym zadaniem.

Nie ma mowy o braku szacunku dla cudzych wysiłków twórczych, nie ma mowy o lekceważeniu jakichkolwiek ambicji i zamierzeń poetyckich, ale też nie może być mowy o innym rozwiązaniu tej trudnej sprawy jak tylko to, które nakazuje praktyka pracy redakcyjnej. Należy wszakże się zastanowić, czy z tych uwag nie wynikają konkluzje ogólne, czy nie podkreślają one potrzeby wzmocnienia dotychczasowej pracy poradni literackich, czy nie nakazują redaktorom poszczególnych pism na uelastycznienie ich polityki redakcyjnej na odcinku literackim, czy nie prowokują do ryzykownych nawet eksperymentów.

Nie rozstrzygajmy tych problemów teraz. Starajmy się je rozwiązać w mądrej praktyce konkretnego działania. A rozmowa dzisiejsza, która musi się doczekać swojego dalszego ciągu, niechaj będzie dowodem, że pozornie oschłe i urzędowe odpowiedzi redakcji nie są ani oschłe ani urzędowe.

Z. L.

Gdy teoria staje się praktyką

W STYCZNIOWYM numerze „Esprit” ks. M. Chenu określa założenia teologii pracy. Wykazuje on słabość stanowiska, próbującego negocjować istnienie walki klas, podczas gdy jest ona faktem stwierdzonym socjologicznie. O ile bowiem miłość bratnia nie dopuszcza nienawiści, która jest zderzeniem dwóch egoizmów, a nie wyzwoleniem człowieka, o tyle obserwacja faktów narzuca, wbrew wszelkim krętaństwom filantropów i tezom liberalnej harmonii, rzeczywistość konfliktu między kapitałem a pracą. Antagonizmu tego nie ułagodzają cnoty moralne, uspokajające gniew u jednych, namiętność zysku u drugich. By to załagodzenie osiągnąć potrzeba, zdaniem ks. Chenu, przemiany struktur ekonomicznych. Nie chodzi tu bowiem o sprzeczki między bogatymi a ubogimi. Ież o podstawowe założenia kapitalistycznego ustroju ekonomicznego i społecznego.

Stwierdzenia ks. Chenu, który rozprawia się z atmosferą moralizatorskiego a nie chrześcijańskiego stosunku do dzisiejszych konfliktów społecznych — potwierdzane są we Francji codzienną praktyką.

Z radością możemy zasygnalizować coraz częstsze przejawy bezkompromisowego a jednocześnie w pełni chrześcijańskiego udziału katolików w konfliktach społecznych po stronie klasy robotniczej.

Oto ogłoszony w dwutygodniku katolickim „Quinzaine” protest wybitnych pisarzy i publicystów katolickich przeciw zakazowi manifestacji robotniczej w rocznicę nieudanej próby faszystowskiego zamachu stanu w lutym 1934 r. Rząd francuski walcząc z ruchami robotniczymi zaangażował w tej sprawie stanowisko solidaryzujące się z organizatorami zamachu z 1934 r., późniejszymi przywódcami pro-niemieckiego reżimu z Vichy.

„Francuzi, a zwłaszcza klasa robotnicza znaczą swój rok pracy manifestacjami, które są dla nich sposobnością wyrażania jedności i solidarności. Manifestacja lutowa jest obchodzona od 1934 r. dla upamiętnienia zwycięstwa ludu nad faszyzmem, zagrażającym wtedy całej Europie a więc i Francji.

Była ona także zapowiedzią zdobyczy społecznych z r. 1936; osią-

nić tych nikt z ludzi pracy nie może się już wyrzec.

Dla ludu Paryża wspólne akcje i manifestacje publiczne są najprostszy środkiem wyrażania swych uczuć. Bronić prawa do wspólnych manifestacji, to znaczy bronić naszej wolności sumienia, wolności słowa i zebrań.

Toteż nasze wczorajsze zobowiązania i solidarność ludzi wolnych wywołują nas dziś do obrony honoru, tradycji i wolności ludu pracującego Francji.

Obowiązuje nas także solidarność wobec tych, którzy już nie mogą pro testować, gdyż albo nędza ich przynęca, albo zniechęcenie tłumi ich głos; milczenie ich jest najwyraźniejszym protestem.

Zarządzenie jakie wydał prefekt policji zakazując tradycyjnej manifestacji 10 lutego może tylko szkodzić sprawie wewnętrznej pokoju i uniemożliwiać pracę tych, którzy szukają sprawiedliwych rozwiązań poważnych zagadnień współczesnej Francji.

Z niepokojem należałoby oczekiwać takiego dnia, kiedy wesołoby w zwyczaj odpowiadać siłą i uciskiem na postulaty stawiane przez masy pracujące i ich prawowite organizacje. Co by się wtedy stało z demokratycznymi zasadami i pokojem naszego narodu? Co by stało się z Francją?”

Pod protestem znajdujemy, wśród 11 podpisów znane powszechnie nazwiska — jak STANISLAS FUMET, KS. DÉPIERRE Z MISSION DE PARIS, GEORGES MONTARON Z „TÉMOIGNAGE CHRÉTIEN”, J. M. DOMENACH Z „ESPRIT”, SEKRETARZ U.C.P.M. MOIRAUD.

W odpowiedzi na potężny strajk, którym lud Paryża zaprotestował przeciw bezprawnemu policyjnemu zakazowi — w wielkich przedsięwzięciach usunięto z pracy najwartościowszych działaczy robotniczych. Posunięcia te są najlepszą ilustracją prawdziwości stwierdzeń ks. Chenu na łamach „Esprit”.

Oto artykuł G. Montaron, protestującego na łamach „Témoignage Chrétien” przeciw jawnemu pogwałceniu przez kapitalizm politycznych i społecznych praw swiata pracy:

Od przeszło tygodnia komitet dla przeciwdziałania samowolnym zwolnieniom w fabryce Renault codziennie zwołuje zebrania, na których obecni są przedstawiciele różnych środowisk robotniczych. Wszystkie związki zarówno chrześcijańskie jak i komunistyczne, socjaliści i robotnicy niezrzeszeni są solidarni.

Na skutek strajku z dnia 12 lutego, 265 robotników zostało zwolnionych z pracy, przy czym każdy z nich otrzymał list, w którym zarzucono mu, że brał udział w strajku politycznym oraz marnował surowiec fabryczny.

Z jednym z tak ukaranych przeprowadziliśmy rozmowę, podczas której dowiedziałem się, że robotnik ten dnia 12 lutego nie był w ogóle w fabryce, ponieważ leczył się z choroby, której nabawił się w czasie pobytu w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. 13 lutego powrócił do pracy. W kilka dni potem otrzymał list z wymówieniem. Pewny, iż zaszła jakaś omyłka, pracował nadal przez 3 tygodnie. Wreszcie na skutek interwencji dyrekcji musiał pracę porzucić. Ufny, iż z łatwością wyjaśni swoją sprawę poprosił o rozmowę. Dyrekcja odmówiła jej. Od tej chwili jest bezrobotny.

Oczywiście wypadek ten nie obejmuje wszystkich 265 robotników. Ale znam szereg spraw bardzo do tej zbliżonych. Wszyscy ci ludzie mają dziś olbrzymie trudności ze znalezieniem nowej pracy.

Prawo do strajku jest zagwarantowane konstytucją, mimo to ukarano robotników, których jedynym przewinieniem był udział w strajku.

Jako powód podano „niszczenie materiałów”. Ale nie potrafiono dowiedzieć tego żadnemu ze strajkujących. Żaden z robotników nie miał możliwości wytłumaczenia się, ponieważ odmówiono im rozmowy.

Nieprawny, niesprawiedliwy i samowolny charakter tej akcji wykazuje, iż pan Lefaucheux (prefekt policji) myśli, że jest to rok 1905 i wolno mu stosować metody czarnych list.

„Témoignage Chrétien” wierząc w sprawiedliwość, uważa, że powinno wystąpić przeciw takiej niesprawiedliwości. A ponieważ „wielka” prasa milczy, musimy mówić głośno.

Georges Montaron

NOTATNIK POLITYCZNY

Obluda demaskuje się sama

„Właśnie w chwili obecnej rozstrzyga się kwestia, czy Niemcy zostaną odbudowane jako jednolite, niezawisłe, pokoj młujące państwo, należące do rodziny miłujących pokój narodów Europy, czy też utrzymywane zostanie rozbić Niemiec i związana z tym groźba wojny w Europie” — głosił w swym zakończeniu nota radziecka doręczona w dniu 9 kwietnia przedstawicielom trzech mocarstw zachodnich. Nota ta stanowi w ciągu ostatniego miesiąca trzecie z kolei wystąpienie ZSRR, wskazujące podobnie jak nota radziecka z 10 marca i ostatnia wypowiedź Stalina, jak dalece nagląca jest konieczność ugodowego załatwienia problemu niemieckiego. — Prasa nasza opublikowała wspomnianą notę łącznie z odpowiedzią USA, W. Brytanii i Francji na marcowe propozycje Związku Radzieckiego, co pozwala na pełne zorientowanie się w istocie rozbieżności dzielących radziecki i „atlantycki” punkt widzenia. Zagadnienia sporne można by podzielić na dwie grupy. Pierwsza z nich obejmuje sprawy związane ze sposobem przygotowania gruntu pod dyskusję nad projektem traktatu pokojowego z Niemcami, druga zawiera kluczowe postanowienia ewentualnego traktatu.

Ponieważ mocarstwa zachodnie w zasadzie wyrażają zgodę na odbycie wolnych wyborów które wyłoniłyby ogólnoniemiecki rząd zdolny kontrasygnować traktat — różnica

zdań wyłania się przy pytaniu, pod czyją kontrolą winny się wybory odbywać. Stany Zjednoczone i mocarstwa satelickie domagają się uznania przez ZSRR kompetencji w tej sprawie dla komisji ONZ. Związek Radziecki żądało to kwestionuje jako niezgodne z artykułem 107 Karty Narodów Zjednoczonych i proponuje utworzenie komisji przez cztery mocarstwa wykonujące funkcje okupacyjne w Niemczech. Pomijając nawet formalną poprawność stanowiska radzieckiego trudno nie uznać jego racji faktycznej, skoro się weźmie pod uwagę, że ONZ jest w tej chwili biernym narzędziem dyplomacji USA. W tym stanie rzeczy maksymalne szanse obiektywności ma jedynie wypadkowa opinia czterech mocarstw bezpośrednio zainteresowanych sprawą Niemiec. Jeżeli chodzi o drugą grupę zagadnień spornych, to dla nas Polaków najbardziej ważne jest potwierdzenie znanego stanowiska ZSRR, że uchwały poczdamskie w sprawie granic Niemiec są „zupełnie wystarczające i ostateczne”. Innymi słowy linia Odry i Nysy nie może stać się przedmiotem przetargu, jak to niedwuznacznie wynika z noty mocarstw zachodnich „przypominającej”, że „ostateczne sprzecyzowanie zagadnień terytorialnych powinno być odwołane do zawarcia traktatu pokojowego”.

Jaskrawym dowodem istotnych zamiarów polityków atlantyckich

wobec Niemiec jest odpowiedź mocarstw zachodnich na te propozycje radzieckie, które domagały się zobowiązania przysięgi rządowi niemieckiego, że Niemcy nie będą uczestniczyły w żadnych koalicjach lub sojuszach wojskowych wymierzonych przeciwko państwom, z jakimi podczas II wojny światowej znajdowały się w konflikcie. Upatrując w tym, zresztą słusznym, cios godzący w próbę przekształcenia Niemiec w bazę wypadową przeciw ZSRR i krajom demokracji ludowej — mocarstwa zachodnie zdecydowanie odrzucają propozycje radziecką, nazywając ją „krokiem wstecz”, który „może przeskodzić nadejściu nowej ery w Europie, kiedy to stosunki międzynarodowe oparte będą na współpracy, a nie na rywalizacji i nieufności”. To bijące rekord obludy określenie objęło również radziecką propozycję, przynajmniej Niemcom prawo do posiadania własnej armii dla celów obronnych. Inspiratorzy wojny nie zdradzają, jak widzimy, ochoty do łatwego zrezygnowania z niemieckiego mięsa armatniego, zagwarantowanego im przez wcielenie neo-hitlerowskich kadr do t. zw. armii europejskiej.

Rzeczowa w tonie i w treści nota radziecka demaskuje jednak agresywny charakter odpowiedzi rządów zachodnich. ZSRR ponownie precyzuje własne stanowisko i ponownie wzywa Zachód do rozpatrzenia kwestii traktatu z Niemcami.

Służyć sprawie Porozumienia

Jedna rzecz, wydaje się, wymaga zasadniczego podkreślenia. Porozumienie nie jest „eksperymentem”, którego rozwój możemy śledzić jako mniej lub bardziej życzliwi obserwatorzy. Jest to akt pionierski, którego losy uzależnione są od dojrzałości i wytrwałości pionierów, którzy jego zręby umacniali i budowali. By zadania określone w dniu czternastego kwietnia 1950 roku realizowały się należycie, pionierów winno być na tym odcinku coraz więcej i powinni oni mieć coraz szerszy kredyt zaufania tak wśród ogółu katolików polskich, jak i wśród tych, którzy swymi podpisami wzięli na siebie odpowiedzialność formalną za ten akt. Porozumienie więc nie realizuje się samo. My, katolicy, realizujemy je codziennie, lub, postępując niewłaściwie, codziennie przekreślamy. Przed prasą katolicką stoi więc to samo zadanie na codzień, a nie od święta, od wielkich okoliczności. Tak o generalnych perspektywach, jak i o zadaniach praktycznych, jak i o trudnościach wreszcie, trzeba pisać jak najczęściej, trzeba je analizować i pokonywać. Tymczasem u nas niewątpliwie przeważa dziś tendencja do uważania, że skoro akt został podpisany, to sprawę należy uważać za zamkniętą, a najwyżej o jej dalsze losy mogą się troszczyć ci biskupi i ci przedstawiciele Rządu, którym z urzędu to zadanie przypada.

Realizacja Porozumienia stawia zadania bardzo trudne. Ostatnie dwa lata dowiodły tego chyba w sposób oczywisty. Można też śmiało powiedzieć, że problemy trudne będą narastać w miarę budowania się nowych, socjalistycznych form ustrojowych, a nie będą automatycznie zanikać, jakby niektórzy chcieli. Dlaczego? Po prostu dlatego, że ustroj socjalistyczny jest ustrojem w stanie ciągłych przemian, a nie ustrojem dążącym do skostnienia w jakichś określonych formach. Musi więc wnosić coraz to nowe problemy, a każdy z nich niesie ze sobą skomplikowaną problematykę i światopoglądową i polityczną. Katolik więc realizujący wytyczne Porozumienia, zmuszony jest niemal że codziennie szukać nowych rozwiązań dla narastających nowych problemów. Póki zaś trwa walka pomiędzy światem kapitalizmu a światem socjalizmu, póki katolicyzm znajduje się w tej sytuacji, że jego idee są, nieraz wbrew jego istotnym założeniom, w tę walkę jednostronnie zaangażowane, póty problemy wynikające z postulatu współzycia w Polsce dwóch światopoglądów — będą problemami trudnymi. Sytuacja bowiem nie pozwala na łatwe kompromisy. Decyzje podejmowane muszą być jasne i niewzruszalne. Niewzruszalne tak samo w płaszczyźnie światopoglądowej, byczyźnie światopoglądowej, by nie fałszowały nienaruszanych zasad, jak i w płaszczyźnie politycznej, by, zgodnie z duchem Porozumienia, służyły budowaniu obiektywnie wartościowych elementów socjalistycznej rzeczywistości.

Jeśli realizacja tych trudnych zadań nie będzie codziennie

wspierana przez dalekowzroczną, postępową i odważną publicystykę — jakże szeregi pionierów mają się powiększać?

Docieramy tu do najbardziej zasadniczego problemu. Do zagadnienia ideowej postawy prasy katolickiej. Znaczna większość naszej prasy, wychodząc z założenia, że pierwszym jej celem jest służyć ściśle religijnym potrzebom czytelników, unika tych tematów, które posiadają wyraźnie polityczne akcenty. Tu bowiem, argumentuje się, występują już sądy sporne, katolicy mają i mogą mieć różne poglądy, a prasa katolicka winna służyć wszystkim, a nie tylko jednej orientacji.

Bezwątpienia słuszną jest zasada, że prasa katolicka winna służyć przede wszystkim celom religijnym. Ale zastanówmy się, że przecież założenia Porozumienia, są, od strony katolickiej rozumiane również pod kątem widzenia służenia religijnym

Dokończenie ze str. 1)

celom. Nie dla jakiejś „polityki” akt ten został podpisany, lecz po to, by zapewnić katolikom właściwe warunki życia religijnego; kładli pod tym układem swe podpisy trzej biskupi w imieniu całego Episkopatu Polski. Nie mniej akt ten postuluje ze strony katolickiej cały szereg zaangażowań w dziedziny społeczne i polityczne, dla dobra całego narodu, a więc i dla dobra samych katolików. Jeśli jest więc tam mowa o pokoju, o reformach społecznych, o przeciwwstawianiu się rewindykacjom niemieckim, o obronie granicy zachodniej, o obronie pełni suwerennych praw narodu polskiego do rządzenia na Ziemiach Zachodnich — to są to zobowiązania wynikające po prostu ze słusznej oceny wspólnych wszystkim interesów. Nieporuszenie tych zagadnień w sposób dostatecznie mocny i przekonujący jest w gruncie rzeczy działa-

niem na szkodę sprawy katolickiej w Polsce. Jeśli są jeszcze katolicy, których przekonania są na tych odcinkach niezgodne z wytycznymi Porozumienia, to po prostu są to katolicy szkodzący sprawie swej religii i trzeba ich przed tymi konsekwencjami jak najczęściej przestrzegać. Stąd też, naszym zdaniem, najzupełniej błędny argument, że prasa katolicka, służąc przede wszystkim celom religijnym, powinna unikać tematyki społecznej i politycznej. Nie unika jej nigdzie na świecie, tym bardziej winna się nią zajmować u nas.

To zadanie właśnie jest najczelniejszym zadaniem dla „Dziś i Jutra” i „Słowa Powszechnego”. Określamy je jasno: nasz program wyrażony jest w punktach Porozumienia. Mobilizujemy wokół niego wszystkie siły, które można określić jako postępowe wśród katolików polskich i walczymy o to, by zasady zawarte w Porozumieniu stały się jasne i bliskie wszystkim abso-

Louis de VILFOSSE *)

P o k ó j

W YDAJE mi się, że rola katolików we współczesnym świecie, jeśli chodzi o podstawową zasadę, nie nastęrcza problemom. Nauka Ewangelii oślepia jasnością „Chwała Bogu na Wysościach a na ziemi Pokój ludziom dobrej Woli.”

Druga część tego orędzia określa, jaką winna być postawa chrześcijan w stosunku do innych członków ludzkiej rodziny; na tej doczesnej płaszczyźnie światowej pisarz, którym jestem, znajduję w sposób oczywisty swe miejsce.

Pokój, wskazany tu jako cel, a zarazem zapowiedziany jako obietnica, nie jest dobrodziejstwem zastrzeżonym dzieciom Jeruzolimy, wbranemu narodowi. Dobra Nowina jest własnością wszystkich narodów, ma promieniować na całą ziemię. Napaść jest więc po prostu zbrodnią bratobójstwa, a pojęcie świętej wojny czy „prewencyjnej” krucjaty — świętokradztwem. Ale istnieje jeszcze coś ponadto. Czyż trzeba przy pominać przypowieść o Samarytaninie. Ukazywany tam jako przykład, człowiek, choć obcy wspólnocie duchowej poważanych, jest tym, który potrafi pochylić się skutecznie nad ludzką niedolą, podczas gdy kolejno kapłan i lewita przechodzą obojętnie, nie odwracając się.

Żaden sofizm nie zdoła osłabić wymowy tych wielkich wskazań moralnych chrystianizmu. Czymże więc winna być społeczna misja katolicyzmu, jeśli nie rozszerzaniem ich powszechności, ich, etymologicznie określając, katolickości. Gdyby wskazania te zostały wprowadzone w praktykę, historia nie stałaby się tym czym jest, niekończącym się napawającym wstrętem, pasmem aktów przemocy, niesprawiedliwości i zbrodni. I jakąż podstawę miałyby Marks do napisania swego dobrze znanego zdania o „opium dla ludu.”

Wszędzie, gdzie pracuje się nad utrwaleniem pokoju, wszędzie, gdzie układa się i realizuje plany skutecznego leczenia tysiącletnich ran — katolik musi dostrzec dzieło dobrej woli i przyłączyć się do niego. Jeśli chce się naprawdę rozłożyć opiekę nad chorymi potrzebne są potężne organizacje zdrowia publicznego, a jeśli pragnie się na-

prawdę dać chleb tym, którzy są głodni, trzeba budować wielkie ilości traktorów i rewolucjonizować metody uprawy roli, czy będzie to w Polsce, w Algierze czy w Chinach: trzeba rewolucji społecznej.

Dlaczego jadłowity antyklerykalizm pozostał tak długo jedną z charakterystycznych cech francuskiego życia politycznego? Kościół bowiem uważany był za symbol kontrrewolucji i jej narzędzie. Maurras który był jednocześnie ateuszem, zwolennikiem społecznego niewolnictwa i wrogiem chrześcijaństwa, podawał się mimo to za katolika i wychwalał Kościół za to, że owinął w nieszkodliwą muzykę liturgiczną „truciznę” Magnificat: „Strącił mocarzy z tronów a wywyższył pokornych, łaknących obdarzył dobrami a bogaczy z niczym odprawił.”

Dlaczego antyklerykalizm ten znikł we Francji. Z wielu powodów:



Raymonde Dien
rzeźb. Adam Smolana

po Leonie XIII zalecającym łączenie się z Republiką, Pius XI potępił Maurras'a a Maurice Thorez umiał nakreślić i wytrwale stosować politykę wyciągniętej dłoni. Trudno dziś o bardziej wzruszający i wymowniejszy fakt jak pełne szacunku i uznania okrzyki jakimi przyjmuje się księży-robotników wchodzących na mównicę w czasie manifestacji Ruchu Pokoju.

U nas, we Francji, poczucie odpowiedzialności u katolików umacnia się z każdym dniem w obliczu dramatów ścierania się sprawiedliwości i bezprawia, wojny i pokoju. Za dowód niech wystarczy zajęcie stanowiska przez szereg duchownych i przez katolicki tygodnik „Temoignage Chrétien” w obronie Henri Martin. W środowiskach tych, to, co można by nazwać polskim eksperymentem, wzbudza rosnące zainteresowanie. Jakże, przy całkowitym obiektywizmie, nie podziwiać roztropności z jaką Polacy starają się w imię dobra kraju znaleźć formy porozumienia możliwie zadowalającego tak interesy katolickie, jak i racje stanu Polski Ludowej oszczędzając w ten sposób narodowi rozdarcia, religijnych konfliktów i krwawych wstrząsów roku 1799. I jak nie wyrazić szacunku dla szlachetności i przenikliwości ruchu, który nosi jakże słuszną nazwę „Dziś i Jutra”. Dopatruje się w tym ruchu odbłasku idei Adama Mickiewicza, zwiastuna nowych czasów, który w rozżarzonej tyglu swej poezji stapał miłości ojczyzny i miłości ludzkości, chrześcijańską mistykę i wiarę w nadejście sprawiedliwości na tym świecie. Wierność tym zasadom — oto — moim zdaniem wielki i owocny przykład, którym katolicy polscy nadal powinni promieniować w kierunku Zachodu. Czyniąc to wniosą potężny udział w sprawę pokoju i zasłużą na wdzięczność wszystkich narodów.

tłum. J. A. Górski

Znanu działacz francuskiego Ruchu Obrońców Pokoju, katolik który wielokrotnie odwiedzał Polskę, nadesłał do nas wypowiedź, którą przekazujemy naszym czytelnikom w tej samej formie, w jakiej ją nam autor przekazał:

lutnie katolikom w kraju. Na łamach naszych pism zapraszaliśmy i zapraszać będziemy każdego, kto ten jasny program przyjmie i będzie realizować na swoim odcinku. Właśnie dlatego kładziemy nacisk na szeroki wachlarz naszych współpracowników, że pragniemy wszystkim katolikom polskim udowodnić w praktyce, że problematyka Porozumienia winna nas łączyć, a nie dzielić. Oddzielamy się świadomie tylko od tego odłamu, który hasła Porozumienia świadomie odrzucił.

Są na łamach naszych omawiane zagadnienia ściśle ideologiczne, wybiegające poza zakres problematyki Porozumienia. Są to w pierwszym rzędzie zagadnienia społeczne. W naszym zrozumieniu są one logiczną konsekwencją tez, wyrażonych w akcie Porozumienia. Realizować te tezy bez ustosunkowania się do społecznej problematyki socjalizmu — to wykazywać niewątpliwie brak logiki w swej postawie. Niemniej, to oczywiście, o logikę tę możemy się upominać, ale nikogo do niej zobowiązywać nie będziemy, dlatego też na łamach naszych gościśmy z radością artykuły ludzi, którzy zajmą pozytywne stanowisko w stosunku do Porozumienia, nie podzielają całości proponowanych przez nas sformułowań ideologicznych i bynajmniej nie pragniemy ich obciążać odpowiedzialnością za tę część naszej działalności. Sądymy niemniej, że wcześniej, czy później dostrzegą związek logiczny zachodzący między oboma częściami naszej problematyki.

Myślę też, że związek ten dostrzegają nasi przeciwnicy, którzy atakując nasze pozycje ideowe, są świadomi, że atakują w istocie orientację głoszącą program zawarty w układzie z 14 kwietnia. Każda próba niedopuszczenia na nasze łamy tych nazwisk, które angażując się, wzmacniają autorytet pionierów wprowadzających w życie zasady współzycia Kościoła Katolickiego i państwa socjalistycznego — jest w istocie, świadomą, albo nieświadomą dywersją przeciw tym samym zasadom.

Rysują się na horyzoncie problemy trudne. Nie ulega wątpliwości, że walka o realizację ustroju socjalistycznego wchodzi w fazę bardzo doniosłą i że świat kapitalistyczny montuje, tak w skali światowej, jak wewnętrznej, rozpaczliwą ofensywę dla uzyskania władzy nad światem. W tej walce obowiązują nas solidarność z pokrzywdzonymi, walczącymi o swe prawa. Jednocześnie narastają nowe problemy światopoglądowe, które chcemy rozstrzygać z korzyścią dla Kościoła Katolickiego, a bez szkody dla budującego się ustroju socjalistycznego.

Swą postawą będziemy się przyczyniać do rozwiązywania na naszym odcinku tych trudnych problemów. Będziemy, czyniąc to, służyć Kościołowi, którego pragniemy być najwinniejszymi członkami i Polsce Ludowej, której pragniemy być dobrymi i aktywnymi obywatelami.

Jerzy Andrzej GÓRSKI

O »LISTACH NIKODEMA«

UKAZAĆ odległą o setki czy tysiące lat epokę nie sprzeniewierzając się jakże trudnej do ustalenia prawdziwej historycznej i na tle wizji minionych czasów odtworzyć żywych ludzi, takich jakimi byli w istocie według wszelkiego prawdopodobieństwa, a jednocześnie umieć odmalować ten obraz środkami czysto artystycznymi nie ulegając pokusie historycznej czy psychologicznej publicystyki — oto przedstawione w największym skrócie trudne zadanie, przed którym staje pisarz, skoro dziełem swym cofnąć się musi w przeszłość. Ale istnieją tematy historyczne napawające twórcę lekkim, płynącym z poczucia własnej nieporadności, tematy, których nie przybliżają nawet najbardziej drobiazgowo studia, które oneśmielają, napawają wahaniem, a jednocześnie przyciągają w sposób nieodparty. Takim tematem jest dla pisarza katolickiego życie Jezusa. Tu trzeba nie jak w każdej innej powieści historycznej jedynie odnajdywać prawdę o epoce i jej postaciach, ale przede wszystkim pisać o Prawdzie, a to czynić chyba należy tak, jak Fra Angelico malował swe obrazy — na kolanach.

„Najbliższa prawda o Chrystusie — pisze Daniel Rops w swej książce „Jésus en son temps“ — nie jest natury historycznej. Prawdziwy Jezus, to ten „Bóg czyhający w każdym z nas“, o którym mówił Mauriac. Nie przez analizę, nie przez krytykę, ani przez metodę socjologiczną można osiągnąć całkowitą prawdę „Syna Człowieczego“, raczej można ją pojąć przez ową siłę tajemniczą, która staje się siłą uczucia jedynie wtedy gdy jest wyrażona w języku ludzkim, ale która sama w sobie jest zdolnością poznania — i nawet więcej niż zdolnością, gdyż jest poznaniem samym — prawdę Chrystusa można poznać przez ową siłę przylgnięcia, którą Pascal określa niezapomnianym słowem „serce“. I tu rozpoczyna się twórcza. Bo jeżeli prawdziwym Chrystusem jest ten Chrystus wewnątrz każdego z nas, ten Bóg przed którym uciekamy lub do którego się zbliżamy zależnie od chwili, to jakie drżenie musi ogarnąć tego, kto niegodny ośmiela się opisywać Go“.

Nie obce musiało być to uczucie twórcy i Janowi Dobraczyńskiemu, gdy pisał swe „Listy Nikodema“. Czyż odbiciem twórczego cierpienia, które nieodłącznie towarzyszy każdemu pisarzowi, który pragnie przy pomocy swych ułomnych słów opowiedzieć o życiu Zbawiciela nie są te zdania listu XIX. „Przeostałem pisać haggady — zawiadamia Justusa Nikodem — to nie nie znaczy, że nie potrafię lub nie mogę ich pisać. Przeciwnie, jest we mnie jakby nakaz a-bym pisał znowu. Ale ja się przed tym bronię. Nie chcę tego... Bo moje haggady powstawały dotychczas bez bólu, bez wysiłku, w radosnym pragnieniu służenia w ten sposób Najwyższemu. Teraz, wiem — to się skończyło. To, co bym teraz pisał byłoby ryciem liter nie na wosku, ale wprost na odkrytym sercu. Muszę pisać i boję się tego pisania“.

DOBACZYŃSKI podjął w swej książce śmiały zamiar ukazania publicznego życia Chrystusa, tak jak przedstawiało się ono oczom mieszkańca Judei, żyjącego w czwartym dziesiątku lat naszej ery. Nikodem jest tylko bohaterem pozornym, artystycznym przyzmatem przybliżającym czytelnikowi postać Chrystusa. Niełatwą jednak było zapewne rzeczą stworzenie tak wyrazistej sylwetki Nikodema, jaka wyłania się z listów, stworzenie żywego z krwi i kości człowieka, który tkwiąc w swej epoce, będąc nieodrędnym synem swych czasów i środowiska w którym kształtował się i działał, bliski nam jest tym najistotniejszym choć jakże trudnym do określenia elementem swego

człowieczeństwa, niezmiennym i ponadczasowym.

Faryzeusz Nikodem, wybitny znawca i komentator Pisma św., przedstawiciel arystokracji żydowskiej w Sanhedrynie jest postacią historyczną. Trzy razy wspomina o nim Ewangelia wg św. Jana. Raz widzimy go, jak nocą przybywa do Jezusa pragnący może uwierzyć, kapitulujący wobec faktów, które dokonywują się na jego oczach, zbyt jednak ciasno pojmujący Stary Zakon, zbyt przywiązany do zrutynizowanych wyobrażeń, formulek i interpretacji, by pozbawić się mógł wątpliwości, zrozumieć i uwierzyć w prawdę Królestwa Bożego, którego nadejście głosi Jezus. Powtórnie dostrzegamy go przez chwilę w świątyni, gdy z tłumem faryzeuszów, którzy zadają Jezusowi podstępne pytania pragnąc Go pojąć i osądzić, rozlega się nagle głos Nikodema: „Czyż prawo nasze potępia człowieka zanim się go przesłucha i zbada co czyni?“ I wreszcie dowiadujemy się, że kiedy Józef z Arymatei zabiera ciało Ukrzyżowanego z Golgoty, zjawia się Nikodem „niosąc około stu funtów przyprawy mirry i aloesu“. Tyle o Nikodemie mówi Ewangelia.

W oparciu o te lakoniczne dane trzeba było dopełnić resztę wyobraźnią, ale wyobraźnią mocno okiełznaną wymogami historii i psychologii. Zresztą odpowiedzialność pisarza za tę postać jest stosunkowo mała, nie wychodzi poza zwykłe granice kryterium prawdziwości, jakie krytyka i czytelnik stawiają bohaterowi fikcyjnemu czy znanemu z imienia jedynie i jakichś epizodycznych faktów przekazanych przez skąpe dokumenty minionej epo-

ki. Tu dozwolona jest w pełni „licentia poetica“, podawanie hipotez jako faktów, weryfikacja legend i anachronizmów. Zgola inaczej przedstawia się jednak odpowiedzialność tam, gdzie chodzi o ludzi, których świat zna od dwóch tysięcy lat z kart Ewangelii, zawsze takich samych, o których tradycja Kościoła nie mówi nic prawie ponadto, co wyszło spod pióra ewangelistów; o apostołach, o uczniach, o tych wszystkich, którzy spotkali na swej drodze Chrystusa. A wreszcie on sam. Jak pisać o Nim, zdając się wyłącznie na intuicję człowieka wierzącego i artysty, wzbogać wizerunek tak przejmujący i plastyczny, jaki znajdujemy w Piśmie św.? A jednak — pokusa apokryfu jest dziś równie silna jak w ubiegłym stuleciu, gdy stanowiły one tron katolickiej, jeśli można tak to nazwać w odniesieniu do średniowiecza, beletrystyki. Ewangelia mówi o Jezusie wiele, a jednocześnie dla milującego serca mało. Współczesny katolik z uśmiechem wyższości i lekceważenia patrzy na te wszystkie Ewangelie: Dwunastu, Tomaszów i Filipów, wszystkie jakże naiwne legendy wieków średnich, a przecież tkwi w nim to samo uczucie, to samo pragnienie, ta sama szlachetna ciekawość, która nakazywała tym nieznanym przeważnie autorom wypełniać luki przekazów Ewangelii przy pomocy własnej imaginacji.

„Listy Nikodema“ trudno nazwać apokryfem, choć mają one niewątpliwie posmak tego gatunku literackiego i choć czasami w niektórych fragmentach nabierają wszystkich jego cech. Dobraczyński nie oddala się nigdy od Ewangelii, nadaje tylko jej obrazom intensywniejszą barwę,

rozbudowuje je, pokazuje pod innym kątem widzenia niż ten, do którego przywykliśmy, patrzy na nie innymi oczyma, oczyma Nikodema. Genialnie lapidarny tok ewangelicznej narracji stanowi konstrukcyjny szkielet „Listów“ — pomnaża się on o opisy przyrody, o charakterystyki ludzi, o tło opisywanych zdarzeń. Chrystus „Listów Nikodema“ to nie Chrystus apokryficzny Ewangelii tego samego Nikodema, ale Jezus taki, o jakim nam mówi św. Mateusz, Łukasz, Marek i Jan. Charakterystyczne, że słowa Chrystusa w listach przeważnie występują w cudzysłowach, że są słowami Ewangelii. Tam zaś, gdzie Dobraczyński pozwala sobie na fikcyjny dialog, na przepisanie Jezusowi kilku zdań nie potwierdzonych autorytetem Objawienia, czyni to w sposób świadczący o głębokim wycięciu się w ducha Pisma św. Te apokryficzne wtręty nie rażą, wręcz przeciwnie, utrzymane są w tak sugestywnym i szarmonizowanym z autentycznymi słowami tonie, że jedynie brak cudzysłowu przypomina o literackiej mistyfikacji.

K ORESPONDENCJA Nikodema z Justusem rozpoczyna się w okresie pojawienia się św. Jana Chrzciela u Brodu Betsabara, kończy się wkrótce po Zesłaniu Ducha św. Działalność Jana, całe publiczne życie Jezusa, męka i Zmartwychwstanie — o wszystkim tym donosi Nikodem swemu przyjacielowi. Listy będące właściwie rozdziałami pamiętnika składają się na historię faryzeusza, któremu dane było pojąć Prawdę nie dostrzeżoną przez większość jego współczesnych. Nikodem pierwszych listów jest faryzeuszem nader typowym — bada teksty, pisze haggady,

bierze udział w posiedzeniach Sanhedrynu, powiększa z powodzeniem swój majątek. Jego poglądy i stosunek do obserwowanych spraw i zjawisk nie odbiega w niczym od wyobrażeń i sposobu myślenia ludzi jego sfery.

Nikodem uważa się za człowieka uczciwego i prawego, z żelazną konsekwencją dochowującego wierności Zakonowi. W jego spojrzeniu na otoczenie daje się zauważyć pewien odcień pogardy, jakiś ślad postawy, którą wyraża w Ewangelii modlący się faryzeusz, dziękujący Bogu, że nie jest „jako celnik“. Na tle ówczesnej arystokracji żydowskiej Nikodem rzęczywiście wyróżnia się szeregiem cnót moralnych — obcy jest niekończącym się sporom saduceuszów z faryzeuszami, nie miesza się do nich; nie uczestniczy w przeróżnych nieuczciwych kombinacjach natury politycznej, przeprowadzanych przez rywalizujące strony, nie „kolaboruje“ z Rzymianami, nie zabiega o względy Judejczyków. Stara się mówić językiem współczesnym, zachować stanowisko neutralnego naukowca i wychowawcy. Jest przy tym dość tolerancyjny, jak o tym świadczy jego stosunek do Józefa z Arymatei.

Taki jest Nikodem w życiu publicznym, w osobistym natomiast przeżywa głęboki dramat, który staje się początkiem powolnej, wewnętrznej ewolucji. Nikodem ma nieuleczalnie chore dziecko, gasnące z dnia na dzień mimo wszelkich prób ratunku. I ten fakt przez długi czas jest wyłącznym motorem jego działania. Nikodem pragnie uzdrowić swą córkę, pragnie zachować ją przy życiu. To pragnienie kieruje jego kroki nad

(Dokończenie na str. 8)

Janusz OSTASZEWSKI

Listy Justusa do Nikodema

Niewiele wiemy o Justusie. Jego mądra, wyniosła i nieco chłodna postać została zepchnięta w niepamięć przez namiętne sprawy tamtych czasów. Musiał to być zapewne umysł wielki, może nawet niezwykły — wszakże czcigodny rabbi Nikodem zwraca się do niego z wielką czcią, nazywając go mistrzem (ale nie Mistrzem, wielkie litery alfabetu zachowuje Nikodem dla Kogoś Innego). Justus odznaczał się systematycznością i zmysłem porządku, czemu zawiadzamy zachowanie się w pełnym (aż nadto pełnym) tekście dwudziestu pięciu listów Nikodema. Natomiast z listów Justusa dotrwało zaledwie kilka urywków. Nikodem ogarnęła bowiem wielka beztroška. Wtedy, gdy rozdał miennie swe ubogi, gdy odszedł wraz z Łukaszem w drogę do Antiochii, by nieść światu Wielką Nowinę — czymżeż były dla niego listy Justusa, listy ze świata, który opuścił na zawsze? Pozostawił je na pastwę losu i ciemnych, nierozumnych ludzi. Oto urywki, które pozostały.

Nikodemie bar Nikodemie!

Coraz bardziej dziwię i niepokoję mnie twoje listy. Wierzę po prostu nie chcę, że ty, rabbi, czcigodny członek Sanhedrynu, niepamiętny na te nauki, które... Hilel...

...krążysz, jak ćma koło płomienia. Nie poznaję cię, mistrzu haggady. Słowa twoich listów są bezsilne, blade i zmęczone. Nie umiesz w sieć swych okrągłych zdań schwytać prawdy o Galilejczyku — męczysz się, coraz to od nowa powracając do niedopowiedzianych spraw. Powtarzasz dwakroć, trzykroć, wielokroć to, co już napisałeś, a przecież sam nie wierzysz, byś w ten sposób choć o krok zbliżył się do tego, co chcesz wyrazić. Ten Galilejczyk — to chyba istotnie niezwykły człowiek, czy — jak ty piszesz Człowiek (mógłbyś naprawdę nieco oszczędzać, Nikodemie, wielkich liter — w tej ilości i przy tej częstotliwości przestają one cokolwiek podkreślać)...

Ale wracam i tym razem do twojego Galilejczyka. Czuję, drogi Nikodemie, że chcesz, abym ci powiedział, co myślę o nim i o jego nauce. Ale ja nie poznałem z twoich listów ani jego, ani jego nauki. Listy twoje są mądre. Może nieco zanadto lubujesz się w uczonej ter-

minologii — ale nie dziwi mnie to w twoim wieku. A nadto — wszakże jesteś faryzeuszem, rabbi Nikodemie. Ale cała twoja wiedza, mądrość i doświadczenie w sprawach wiary, pisma oraz sztuki pisania nie pomagają ci, gdy mówisz o Galilejczyku. Czy wiesz? Wydaje mi się, że nawet przeszkadzają ci. Z tego co do mnie doszło (bo to już w kraju naszym sprawa głośna) trzeba o nim mówić znacznie prościej, nie tak pięknym, nie tak wymyślnym jak twój — językiem. I to właśnie wydaje mi się tym, co jest najbardziej osobliwe w postaci Galilejczyka. Jestem stary. Moje czasy, Nikodemie bar Nikodemie, były trudne i pełne niepokoju, jakiegoś oczekiwania i tęsknoty za niespełnionym. Nawet i pogan przenika raz po raz ten wstrząsający niepokój. Czyż to nie on wygnął Tyberiusza na Rodos? Izrael rozdzierały i rozdzierają żarte spory — o zmartwychwstaniu ciała, o aniołach, o przepisach czystości i obmywania... Ale ilekroć rozmawialiśmy ze sobą Nikodemie, albo ilekroć pisaliśmy o tych sporach, które dzielą faryzeuszów, saduceuszów, eseńczyków, terapeutów, sadokitów — nigdy nie zabrakło nam słów i nigdy twoje uczone słowa nie brzmiały fałszywie...

Odczytałem ten list dwukrotnie. I gdybym nie był starcem, którego nie dziwi, że zdumieniem i oburzeniem powiedziałbym ci, że tylko słowami odzegnujesz się od rozpusty, której świadkiem byłeś w Macheronie. Widzę nieledwie, twój poządlivy wzrok, jakim patrzysz na taniec Salome. Skąd właściwie ty, czcigodny rabbi, cnotliwy podobno i dbały o przepisy Zakonu, rozumiałeś tak dobrze bezwstydną treść tego tańca? — na równi z Rzymianami, Grekami i Arabami. Jakże często w słowach potępienia ukrywa się potajemna rozkosz mówienia o tym co potępiamy. I dlatego ten list twój napętlil mnie smutkiem...

...Czy zastanowiłeś się kiedy nad tym Nikodemie? Waham się — myśl ta prowadzi bowiem bardzo daleko, może za daleko. Ale przekonałem się, że wraz z nową i słuszną myślą najczęściej ogarnia nas twoga. Czy zastanowiłeś się nad tym, Nikodemie, że nasze przepisy religijne tak zostały ułożone, że właściwie tylko my — ludzie bogaci — możemy ich przestrzegać. Całe społeczeństwo, nędzarze, amhaarezi skazani wyłącznie na prace rąk własnych, wszyscy ci, których potępiamy jako nieczystych, nie mogą prosto spełniać tych niezliczonych przepisów, które — przynajmniej to — przeważnie my sami stworzyliśmy. Czyżby ich hańba była naszym dziełem? Ale nie tylko 'o. Ich smutna i wzgardzona przez nas pobożność, pobożność trudna i ciemna stała się okazją do znakomitego umocnienia dochodów kapłanów i bogaczy. Piszesz o tłumach, które przybywają do Jeruzolimy na święto Paschy — a wszakże prawowierni powinni raz w roku odwiedzić Przybytek. Kto korzysta...

...ten twój Galilejczyk odrzucił przepisy, dzielące ludzi na cnotliwych bogaczy i grzesznych nędzarzy. Czyżby widział tylko człowieka? Gromada krzykliwych i nieokrzesanych rybaków, rabbi Nikodem bar Nikodem, nędzarze, nierządnicę — ludzkie. Przysnaję, że w tym właśnie widzę najgroźniejszą z nauk Galilejczyka, naukę, która mogłaby... ogarnia mnie lek. Gdyby...

Cóż dzieje się z tobą, Nikodemie? Czuję, że jesteś do dna przeorany tymi tragicznymi wydarzeniami, o których donosisz mi w swoim liście. Jakże jesteś inny, niż w poprzednich listach. W obliczu umęczonego człowieka, który padł pastwą nienawiści, w obliczu krwi, hańby i śmierci — przestałeś wreszcie szukać i dobierać słów. I dlatego znajdujesz je — słowa wstrząsające, prawdomówne, głębokie. Choć nie ogarnął mnie — jak ciebie, Nikodemie — powiew cudowności, to wyczuwam jednak, że...

A teraz z kolei listy twoje stały się porywcze. Piszesz je w pośpiechu. Odnoszę takie wrażenie, jakbyś już coraz mniej dbał o nie, jakbyś pisał je tylko dlatego, że poprzednie listy wymagają dopełnienia...

...Ochodzisz, Nikodemie, od świata, który cię wychował i który dał ci wszystko. A może nie dał ci nic, skoro niczego w drogę nie bierzesz. Ochodzisz w gromadzie nieokrzesanych rybaków. Czy zmieniłeś imię (podobnie jak Szymon, o którym mi pisałeś)? Bowiem jesteś już innym człowiekiem. Nie umiem znaleźć Nikodema bar Nikodema w tym, który uznał...

...kto wie, gdybym nie był tak bardzo stary i tak bardzo zmęczony...

Zygmunt WNUCZKOWSKI

Ziemie Odzyskane w Planie 6-letnim

KRYTYKA Pokoju Wersalskiego rozpoczęła się zaraz po jego podpisaniu. Granice wschodnie Niemiec, wytknięte w roku 1919, nie zadowalały ani Polaków, ani Niemców. Pierwsi nie odzyskali swych przastarych ziem, których posiadanie dawało szansę rozwojowe polskiej państwowości, drudzy, ponosząc straty w stosunku do stanu sprzed pierwszej wojny światowej, nie mieli przekonania czy w atmosferze międzynarodowych targów, których rezultatem był kompromis międzynarodowy, nie można było zachować dla siebie więcej niż się oddało.

Nie tylko jednak wśród bezpośrednio zainteresowanych lecz także wśród Francuzów, którzy za prawa zwycięzców zapłacili wówczas wysoką cenę przelanej krwi, nie brak było głosów krytycznych na temat tego traktatu. Znany historyk francuski J. Bainville w książce pt. „Polityczne konsekwencje pokoju“, która wywołała duże zainteresowanie na zachodzie Europy, wskazywał na sztuczność i nietrwałość „równowagi pokojowej“ wyznaczonej słupami granicznymi wschodniej granicy Niemiec. Politycy ery wersalskiej nie widzieli potrzeby zapewnienia Polsce takich warunków istnienia, które dawałyby jej szansę rozwoju opartej na realnych podstawach gospodarczych i geopolitycznych.

Kręta, a przez to długa, oparta nie na historycznie dających się uzasadnić przesłankach, ale na żalonym ich kompromisie z interesami rzeszy pruskiej i junkierskiej polityki — granica polsko-niemiecka musiała prędzej czy później stać się zarzewiem nieporozumień i konfliktów. Historyczne ziemie polskie, położone na prawym brzegu Odry, pozostały w rękach niemieckich, mimo, że ludność niemiecka już przed pierwszą wojną światową wykazywała coraz to wyraźniejsze tendencje do przesuwania się z tych terenów na zachód, wbrew hasłu „Drang nach Osten“. Stosunek ludności „niemieckiego wschodu“ do ludności całej Rzeszy wynosił:

w roku 1864	— 26%
„ 1875	— 25,7%
„ 1910	— 21,3%
„ 1933	— 15,8%

W świetle wyników badań naukowych opartych głównie o źródła niemieckie można dzisiaj stwierdzić z całą pewnością, że Ziemie Odzyskane w gospodarstwie niemieckim odgrywały rolę drugorzędą, ograniczoną do dostarczenia pozostałej części Rzeszy nadwyżek ludnościowych i niewielkich nadwyżek rolniczych wygospodarowanych kosztem znacznych nakładów (akcja „Osthilfe“)

POCZDAM

W POCZDAMIE zapadły rozstrzygnięcia kształtujące naszą obecną zachodnią granicę. Związek Radziecki, którego wpływ na ukształtowanie się tej granicy był bardzo poważny, kierował się innymi kryteriami niż sygnatariusze Traktatu Wersalskiego.

W Poczdamie zdawano sobie sprawę, że granica na Odrze i Nysie pozwoli organizacjom gospodarczym Niemiec i Polski wydobyć większy łączny wynik produktywny: że Niemcy w nowych zwięzłych granicach nie będą przeludnione, Polska natomiast bez Ziem Odzyskanych byłaby przeludniona na wsł w stopniu niespotykanym dotąd w Europie; że wreszcie nie można powtarzać nonsensu korytarza, że trzeba stworzyć granicę pokoju, a nie wojny.

O trafności rozstrzygnięć poczdamskich świadczy dzisiaj, w per-

spektywie kilku lat, pogłębiająca się przyjaźń i stosunki gospodarcze pomiędzy Niemiecką Republiką Demokratyczną, a Polską.

Bogactwa naturalne, przemysł i dobra komunikacja Ziem Odzyskanych dają nam możliwość dokonania historycznej przemiany naszego gospodarstwa, polegającej na przekształceniu się w szybkim tempie z państwa rolniczego w przemysłowo-rolnicze.

Zasoby Ziem Odzyskanych w obrębie naszego gospodarstwa dają się wykorzystać bardziej produktywnie, niż to było możliwe w organizmie państwa niemieckiego. Na podstawie danych uwzględniających szereg elementów gospodarczych i przyjmujących za podstawę szacunku rok 1936 obliczono, że gdyby w tym czasie dokonano obecnej zmiany granic, to dochód społeczny przypadający na głowę mieszkańca Niemiec zmniejszyłby się zaledwie o 10%, pozostając nadal wyższym niż przeciętny dochód Polaka, natomiast dochód przypadający na głowę mieszkańca Polski w jej obecnych granicach wzrósłby o ca 100%.

PLAN SZESZCIOLETNI

POTEŹNYM bodźcem zwiększającym dynamikę rozwojową naszej gospodarki na Ziemach Odzyskanych jest Ustawa o Planie Sześcioletnim. Zanim przejdziemy do omówienia inwestycji przemysłowych, które w ramach tej ustawy powstaną na Ziemach Odzyskanych podkreślić chcemy fakt wyższego przyrostu naturalnego na tych terenach w porównaniu do przyrostu na ziemiach dawnych (25,5 na 1000 mieszkańców na Ziemach Odzyskanych i 14,9 na ziemiach dawnych). Szybszy przyrost naturalny jest zrozumiałą konsekwencją skupienia na Ziemach Odzyskanych większego odsetka ludzi młodych w porównaniu do reszty kraju. Odsetek ludzi w wieku od 20 do 34 lat na Ziemach Odzyskanych wynosił w r. 1949 28,1 podczas gdy w pozostałej części kraju tylko 22,4%). Człowiek jest podstawowym czynnikiem rozwoju gospodarczego, dlatego słusznym jest zacząć od zwrócenia uwagi na ten pomysłny objaw.

Potrzeba zintensyfikowania procesów gospodarczych na obszarach Ziem Odzyskanych nie pozwała oczekiwać na stosunkowo odległe rezultaty pomysłnego zjawiska szybkiego przyrostu naturalnego i wymaga przyspieszenia wzrostu zaludnienia tych ziem przez imigrację z obszarów gęściej zaludnionych. Dlatego Plan Sześcioletni przewiduje np. powiększenia zaludnienia woj. wrocławskiego o 19% w stosunku do roku 1949, co spowoduje przy końcu planu wzrost średniej gęstości zaludnienia na terenie tego województwa do 115 osób na 1 km². Zmiany w tym samym kierunku nastąpią również w innych woj. zachodnich. Województwo koszalińskie dla prawidłowego zagospodarowania rolniczego potrzebuje 130 tys. ludzi, których mogą dostarczyć przeludnione rolniczo obszary południa i centrum kraju.

RÓWNOMIERNY ROZDZIAŁ PRZEMYSŁU

PRZY rozbudowie potencjału przemysłowego w okresie Planu Sześcioletniego wyróżnić można trzy grupy okręgów przemysłowych. Pierwszą stanowią okręgi dawniej silnie zainwestowane, w których tworzenie nowych działów przemysłu i

instytucji usługowych nie byłoby celowe i mogłoby pogorszyć warunki mieszkaniowe ludności pracującej. Drugą grupę stanowią okręgi środki przemysłowe, które powinny ulec rozbudowie dla pełnego wyzyskania bogactw surowcowych i podniesienia możliwości produkcyjnych eksploatowanych inwestycji. Trzecia grupa — to okręgi dotąd zupełnie zaniedbane. Budowa przemysłu w tych okręgach zostaje zapoczątkowana w Planie Sześcioletnim.

Przyjrzyjmy się naszym Ziomom Odzyskanym pod kątem widzenia podziału na trzy wyżej określone grupy. Pozwoli to nam na lepsze uwydatnienie przewodniego założenia Planu tj. równomiernego rozdziału przemysłu w odniesieniu do Ziem Odzyskanych.

Na ogół biorąc tereny odzyskane należą do okręgów drugiej i trzeciej grupy. Okręgiem który trzeba zaliczyć do grupy pierwszej jest górniczy okręg Wałbrzyska i Dzierżonowa na terenie woj. wrocławskiego, zajmującego zresztą jako całość drugie miejsce po katowickim pod względem wielkości produkcji przemysłowej.

Inne okręgi i ośrodki przemysłowe woj. wrocławskiego należą raczej do grupy drugiej.

Przy rozbudowie okręgów tej drugiej grupy szczególnie nacisk będzie położony na właściwe wykorzystanie wielkich bogactw mineralnych występujących u stóp Sudetów.

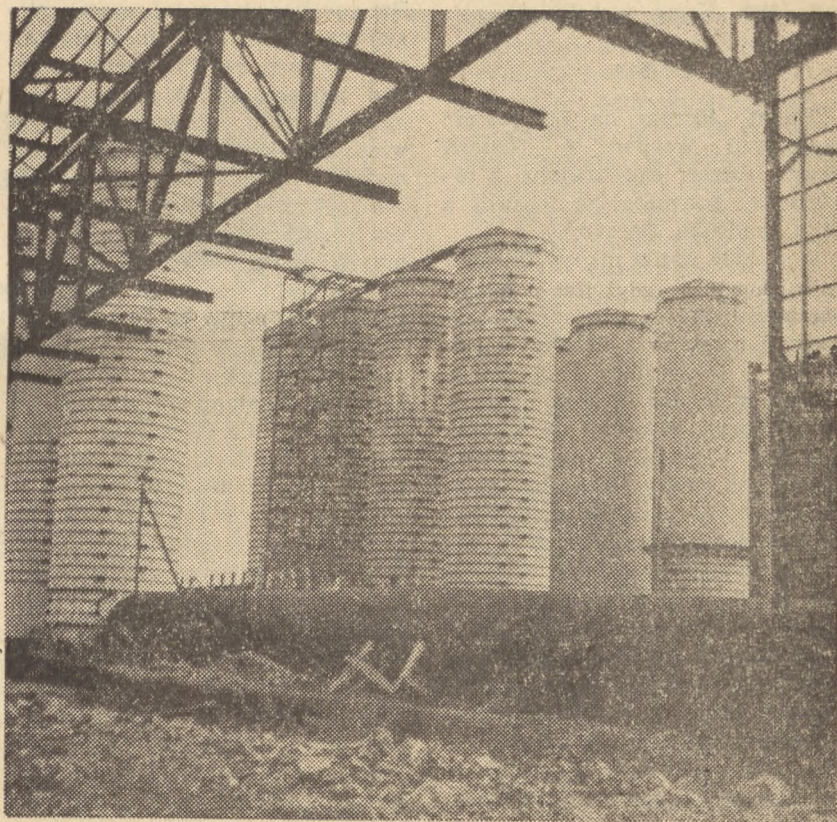
W samym Wrocławiu jak też w innych ośrodkach jak Jelenia Góra, Cieplice, Brzeg Górny i Dolny powstanie szereg poważnych inwestycji. Ogólnie biorąc wartość produkcji przemysłu socjalistycznego na obszarze woj. wrocławskiego wzrośnie o 120%.

Przy wykorzystaniu dróg wodnych górnej Odry i Kanału Kłodnickiego rozbudowany zostanie przemysłowy okręg opolski. Powstaną tutaj wielkie zakłady przemysłu chemicznego i metalowego, rozbuduje się produkcję cementowni w rejonie samego Opola. W czterech tylko powiatach woj. opolskiego położonych nad Odrą ilość robotników zatrudnionych w przemyśle wzrośnie o 25 tys. Racibórz, Nysa, Kędzierzyn, Groszowice oto nazwy miejscowości głośnie już inwestycji sześciolatki. Woj. opolskiego jest typowym przykładem okręgu, który dzięki znacznej rozbudowie przemysłu zmieni dotychczasowy charakter rolniczy na przemysłowo-rolniczy. Do grupy ośrodków charakteryzujących się intensywną rozbudową należy również Szczecin, gdzie poza stoczniami rozbudowane będą zakłady sztucznego jedwabiu, powstanie fabryka celulozy i wiele innych zakładów. W sumie wzrost zatrudnienia przemysłowego w rejonie Dolnej Odry wyniesie kilkanaście tysięcy robotników.

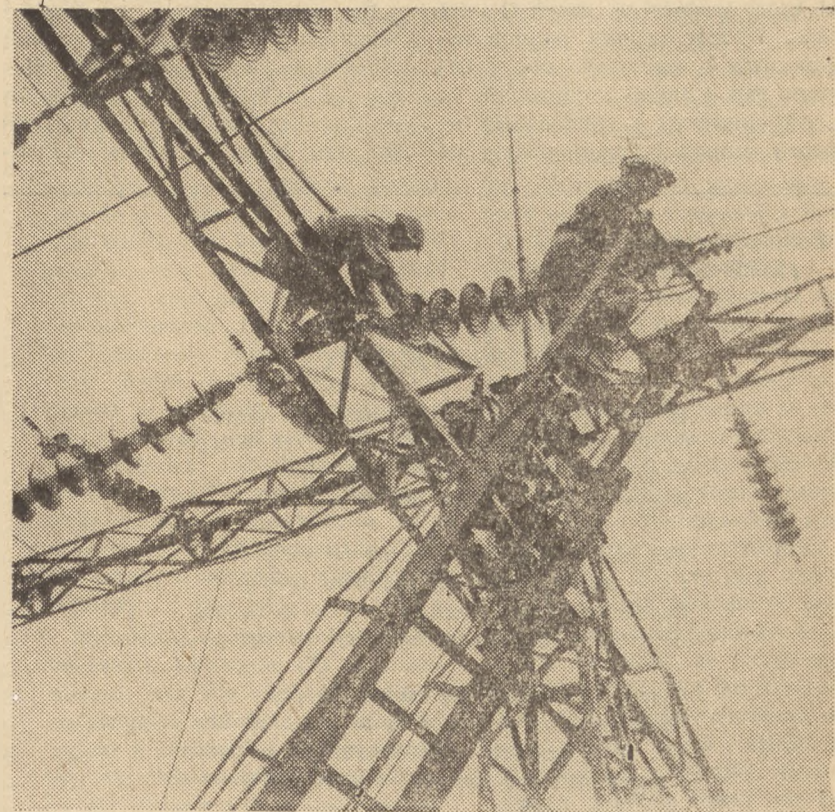
Mniej intensywną będzie rozbudowa przemysłu na obszarach woj. koszalińskiego i olsztyńskiego, które w myśl określonego wyżej podziału zaliczyć można do trzeciej grupy okręgów. Rozbudowa przemysłu na terenie woj. koszalińskiego obejmie 8 ważniejszych zakładów, wśród których wymienić przede wszystkim należy kombinat przetwórczo-rybny w Kolobrzegu. Zatrudnienie w przemyśle na obszarze całego województwa wzrośnie do 17 tys. robotników.



Kłodzko — Madonna w podcieniach
Fot. T. Chrzanowski



Kombinat w Kędzierzynie. Wieże kwasu azotowego fabryki nawozów sztucznych
foto CAF



Montaż rozdzielni w wielkiej elektrowni wodnej w Dychowie
foto CAF

¹⁾ J. Koliński — „Granica pokoju“ strona 69.

Leszek PROROK

ŚLAD KULTU ŚWIĘTEGO WOJCIECHA w romantyzmie niemieckim

WŚRÓD licznych utworów literatury niemieckiej o tematyce polskiej do rządu ciekawszych, nie tylko ze względu na treść, lecz również na czas i okoliczności powstania, należy zapożyczony z rękopisu dramat Zachariasza Wernera pt. „Krzyż nad Bałtykiem” (Das Kreuz an der Ostsee, I wyd. 1805 r.).

W swej literaturze ojczyzny Zachariasz Werner zajmuje poczesne, choć bynajmniej nie czołowe miejsce. Rozgłos i popularność jego dramatów w I ćwierćwieczu ubstulecia zyskały mu nawet w opinii niektórych historyków literatury zaszczytne miejsce pośród dramaturgów niemieckiego romantyzmu — następne po Henryku Kleiście. Żywy, choć wypaczony nieco kult dla osoby św. Wojciecha, wprowadzenie do sztuki ludowego pierwiastka polskiego (Inny dramat Wernera pt. „Wanda, Królowa Sarmatów” 1809), a wreszcie dłuższy pobyt pisarza w Polsce i związki z Polakami, podtrzymywane do późnej starości — wszystko to skłania do zwrócenia uwagi na ciekawą sylwetkę literacką. Szczególnie interesujący jest jego „Krzyż nad Bałtykiem”.

★

Temat „Krzyża nad Bałtykiem” zaczerpnął Werner z „Historii Prus” dzieła jego krajana i rówieśnika, zniemczającego Mazurę z Elku, Ludwika Baczko.

W r. 1226 wielki mistrz Herman v. Salza wysłał do Konrada Mazowieckiego dwóch rycerzy: Konrada v. Landsberg i Oltona v. Sa-leiden. Wysłannicy nie zastali księcia w Płocku. Książę udał się do Krakowa. Przyjeżdża ich księżna Agaphia (Zofia). Podczas pobytu rycerzy na stolicy Mazowsza napa-dli Prusowie. Na prośbę księżny i rycerstwa mazowieckiego Krzyżacy objęli dowództwo obrony. Po ciężkiej walce najeźdźcy musieli odstąpić, sprządnali jedynie zamek i uprowadzili wojewodę polskiego. Ciężko ranni Krzyżacy pozostali na poboju. W czasie pogrzebu poległych stwierdzono oznaki życia u rycerzy zakonnych. Przenie-sieni na zamek powrócili niebawem do zdrowia i doczekali powrotu księcia, który postanowił wezwać Zakon do pacyfikacji Prus.

W przekazie historycznym Baczki, który posłużył za wątek II i III aktu, Werner zmienił jedynie zakończenie i oszczędził obu rycerzom ran i męki poboju.

Akt pierwszy i zakończenie utworu uzupełnił fikcją, opartą na

znajomości państwa staropruskiego. Oto na wybrzeżu Bałtyku Samo, żupan pruski, syn kriwejte, czyli „pana panów”, postanawia wyruszyć na Płock, gdyż książę mazowiecki pojmał jego brata Warmia, grasującego wzdłuż Wisły. Ból i zaciekiłość księcia zwiększa wieść, że Polacy zdołali namówić młodego żupana do przejścia na swą wiarę. By ratować Warmia przed niewolą i odstępstwem od religii przodków, Samo wyrusza na Mazowsze. Oto wytłumaczenie celu najazdu pruskiego na Płock, którego zabrakło w historii Baczki.

Wśród Prusaków na brzegu bałtyckim żyje wciąż świeża i wciąż gąjąca legenda o męczenniku. Autor poświęcił jej sporą część wstępnego komentarza i szereg partii tekstu. Podając dzieje misyjnej wyprawy i męczeńskiej śmierci apostoła Prus, przytacza podanie o cudownym przebiegu ważenia zwłok świętego, które Bolesław Chrobry postanowił wykupić za cenę równej wagi kruszcu. Część dla tajemniczego przybysza z południa pozostała wśród tego ludu. Nawet kapłani, którzy otwierają pierwszy akt sztuki obietnicą dla Bangputtisa, boga fał, głoszą niezwykłość i świętość męczennika.

Otóż duch św. Wojciecha, który pod postacią starca-pielgrzyma, z cytrą u boku, przewija się przez wszystkie akty sztuki, jest wyrazicielem poglądów autora. Duch ten stoi na pograniczu porozumienia i zbratania. Oplekujący pielgrzym zjawia się pod koniec narady starców pruskich, mających zdecydować wyprawę na Mazowsze, celem odbicia Warmia. On również wskazuje drogę i towarzyszy wysłannikom zakonnym zdążającym do Płocka. Nie zdradzając swego incognito duch świętego zdaje się patronować zamiarom zakonu.

Werner odnosi się z aprobatą do poczynań krzyżackich. Uczucie to jednak nie wypływa z nacjonalizmu, czy apoteozy zaborczości krzyżackiej. Pojęcie „Drang nach Osten” jest mu obce. Sympatia do zamierzonej misji rycerzy zakonnych wypływa ze wspomnianych poprzednio pobudek religijnych. Działalność średniowiecznych zakonów rycerskich uważał za najlepszą drogę do religii uniwersalnej. „Krzyż nad Bałtykiem” jest propagandą i niejasną ekspozycją tych poglądów.

Na zamku płockim wysłannicy Wielkiego Mistrza dają pokaz cnót rycerskich i wiele prawią o wartości ich związku, o roli zakonów w Europie. Zyczliwość, jaką żywi do nich duch Wojciecha, nie za-

ciemniają pierwsze praktyki osiedleńców, które nastąpiły niebawem, a które musiały być znane uważnemu czytelnikowi dzieł pruskich. W „Krzyżu nad Bałtykiem” Zakon jeszcze nie osiedlił się na wybrzeżu i początek jego władania nie przyćmiewa laurów sławy zdobytej w Ziemi Świętej.

Największą sympatią darzy tajemniczy pielgrzym kogo innego — księżniczkę mazowiecką Malgonę i jejna pruskiego. Polacy nie tylko namówili Warmia do przejścia na chrześcijaństwo i zerwania z tradycją przodków. W Płocku żupan zbliżył się do córki księcia za wyraźną zgodą jej rodziców. Przybycie rycerzy krzyżackich zbliżyło się z obrzędem zaręczyn Warmia i Malgony. Stąd pod tytuł dramatu: Część I — Noc zaręczyn. Dalszych części cyklu brak. Na ich miejsce wydawca wstawił „Wandę, królową Sarmatów”. Nieświadomie może autor podkreślił pokojowe metody polskiej akcji misyjnej.

Świat obrzędowości religijnej i obyczaju nadbałtyckich Prusów zbliża pewne sceny „Krzyża nad Bałtykiem” do „Dziadów”. Ofiara, którą kapłani składają Bangputtisiowi, przypomina w kolorycie i nastroju zaduszki litewskie. Podobnie canzona, śpiewana podczas uczty na zamku płockim przez pielgrzyma na cześć narzeczonych, kojarzy się z pieśnią Wajdeloty w „Konradzie Wallenrodzie”. Niemasznie jest sprowadzenie ducha męczennika do roli Minnesangera bez względu na wysoce uduchowiony ton pieśni i upodobanie, jakie starzec żywi dla młodych. Werner w wielu okolicznościach nazbyt bezceremonialnie posłużył się romantycznym rekwizytem ducha. Zresztą starzec z cytrą jest zbyt uczłowieczony. Poza hieratycznym tonem swych słów, od ludzi, wśród których się porusza, różni go mają jedynie błyski tryskające czasami z głowy. Treść nie przesądza dostatecznego dystansu.

„Krzyż nad Bałtykiem” zawiera pokaźny ładunek folklorystyczny, rezultat bliskiej styczności Wernera ze społeczeństwem polskim. Zbliżenie wynikało nade wszystko z przyczyn natury osobistej. Po pierwszym nieudalym małżeństwie, rozwiązaniem niebawem, asesor sądowy zaślubia ponownie rodadzkę z Królewca, jednak i ten związek wkrótce się rozpada. W r. 1801 Werner żeni się po raz trzeci, tym razem z córką krawca warszawskiego, piękną Małgorzatą Marchwitowską. W stadle tym znajduje spokój i harmonię. Małgorzata Werner, nie pozostała zapewne bez wpływu na twórczość małżonka. Dzięki niej miał znacznie szerszy wgląd w życie polskie, doskonalił się w języku, pogłębił znajomość obyczajów. Do poznania kraju i ludzi przyczyniły się również pobyty w miastach prowincjonalnych, w Białymstoku i w Płocku, podróże służbowe po podbitym kraju i dyplomsowe wojaże na królewskie urlopy.

W III akcie dramatu Dorotka, dziewczyna rybaczka, przy naprawie sieci śpiewa piosenkę, której „das ächte Original” z nutami melodii przytacza poeta na oddzielnej wkładce do I wydania książkowego. W komentarzu zachwyca się jej subtelnością i wdziękami.

I. Nie chodź do miasteczka
Nie chcesz chłopców zwodzić
Boś młoda dziewczeczka
Możesz sobie szkodzić.

II. Nie kochaj się we mnie,
Bo to nadaremnie,
Ja kocham innego
Cóż ci przyjdzie ze mnie?

III. Jestem Panienczka
Z Krakowa miasteczka
Jedenście mi lat minęło
I jeszcze Dzieweczka.

Na ścianie izdebki w chacie rybaczkiej wisi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, co daje autorowi okazję do obszernego komentarza o kulcie Czarnej Madonny.

W dążeniu do oddania kolorytu lokalnego autor raz po raz kładzie w usta swych postaci charaktery-



styczne zwroty i opatruje je encyklopedycznym komentarzem, podkreślając typowość wyrażen: „Jak Boga kocham” (So wahr Ihr Gott liebt!) lub „Mości Dobrodzieju” (Herr Wohltater).

Na karty romantycznego dramatu o polskim średniowieczu zakradło się wiele anachronizmów. Niektóre wywodzą się aż z nad Sekwany. Magnaci mazowieccy, którzy w czasie uczty na zamku płockim tuż po toaście na cześć dam wnoszą na nowo kielichy z okrzykiem „Śmierć tyranom”, wywołują uśmiech na twarzy bibliotecznego szperacza. W czasach Wernera okrzyk ten mógł być zamierzonym wyrazem tęsknoty i ukrytych sympatii do odległej rewolucji, częstych w chętnie radykalizującym światku artystycznym absolutnej hierarchii pruskiej. Anachronizmem trąca również polscy dygnitarze. Kasztelan Faleński, chorąży krajowy Pilchow-ski, hetman (?) mazowiecki Lasocki to nazwiska, znane zapewne asesorowi warszawskiej judykatury pruskiej bardziej z kancelarii sądowej niż z kroniki Ludwika Baczki. Podobne wrażenie sprawia polonez (polscher Nationaltanz) tańczony hucznie na zamczysku Konrada Mazowieckiego w 1226 r.

Fraternizacja, panująca wśród pewnych kół społeczeństwa polskiego, zwłaszcza na podkładzie wolnomularskim, której plastyczny obraz przekazał Żeromski w „Popiołach”, ułatwia nadto Wernero-

wi podpatrzenie specyficznych cech i odrębności charakteru sarmackiego. Uczta u księżny Agaphii, wyprawiona na cześć rycerzy krzyżackich, technie klimatem recepcji, których nieraz na pewno był naczynym świadkiem i uczestnikiem.

Charakterystyka środowiska polskiego nie odbiega daleko od szablonu „czerepu rubasznego”. Delikatność artysty wolnego od politycznej brutalności, a krępowanego może rodzinnym środowiskiem żony, kazała mu te oceny włożyć w samokrytyczne usta hetmana i księżny. Pierwszy oznajmia, że Polacy piłę upodobań, przekładają nad inne: „Gold, Mädel, Branntwein, Gaul i Schutzpatron” (Złoto, dziewczęta, wódkę, konie i opiekuńczego patrona). Agafia tłumaczy Konradowi v. Landsberg, że przyczyna mazowieckich niepowodzeń na granicy pruskiej leży w wadach narodowych Polaków. Niezgodni, zmienni jak chorągiewka, dbają o swoje, bez troski o dobro wspólne.

Któż z epok naszych dziejów mogła postronnemu obserwatorowi dostarczyć równie bogatego materiału do tych gorzkich uwag, jeśli nie doba rozbiorów. Wkładem, jaki w charakterystyce pisarz dorzucił od siebie, jest intryga uknuta przez zdradca kasztelana wespół z kupcem Stefanem, sprzyjających po cichu Prusom. Intryga ta kończy się zresztą rzuceniem podejrzenia zdrady na niewinnego Warmia.

Echem współczesnej pisarzowi postawy społeczeństwa, a przynajmniej jego znacznej części, brzmią odezwania większości mazowieckich panów, niechętnie dla krzyżowych przybyszów. W przypisach do tekstów znajdzie się nawet powiedzenie „jak świat światem nigdy Polak z Niemcem bratem”.

Z tym wszystkim jednak żywa sympatia przebija z kart dramatu. Wydaje się, że Werner nieźle się czuł w „Prusach Południowych” i chętnie włączył się z mieszkańcami tego kraju. Może inspirowała go też taktyka okupacyjnej administracji, usiłującej znaleźć sposób spokojnego współżycia z ludnością podbitą. Temat „Krzyża nad Bałtykiem” dawał okazję do przesączenia niejednej aluzji, do użytku niemieckiej socjety oraz tych Polaków, którzy nie gardzili literaturą okupanta. Rycerstwo mazowieckie to dobra choć warcholska gromada. Nie rozumie własnego dobra, brak jej horyzontów, nawiązuje za to chętnie braterstwo z rycerzami, przybyłymi z dalekiego świata. Gromadzie tej brak prawdziwego wodza. Ma nim więc zostać Konrad v. Landsberg za dziwnie potulną zgodą hetmana i innych dostojników. Użyteczność tej aluzji mówi sama za siebie.

Jeszcze pełniej niż polski przedstawia się folklor pruski. Opisowi życia, obyczajów i wierzeń ludu pruskiego poświęca Werner krótką rozprawkę na wstępie sztuki. I tu apologeta w roli zakonu krzyżackiego nie może wyzbyć się sympatii dla gospodarzy nadbałtyckiej krainy. Przyjacieli Mniochów i Baczków czuł się może nie tylko potomkiem krzyżackich krzewicieli wiary, lecz również pruskich protoplastów. Raz jeszcze nabiera się przeświadczenia, że nie nacjonalizm pruski, rozbudzony zresztą na dobre dopiero przez wojny napoleońskie, kazał mu apoteozować rycerzy krzyżowych, lecz tęsknota za idea czy sprzysiężeniem, które potrafiłoby stopić Niemców, Polaków i Prusów w ludzkość.

Edmund Spencer
(1552—1599)

Wielkanoc

W tym dniu, o Władco Życia, tak uspaniałym
Odniosłeś triumf nad śmiercią, grzechów węzłem:
Zdeptałeś piekło, przemoc odebrałeś
Więzioną tam, uczylesz jak zwycięzcą.

Ten piękny dzień zaczyna się od szczęścia
I my, dla których krewni przelatają świętą
Będziemy Ci za grzechów zmycie wdzięczni,
Że w szczęściu truamy będziemy pamiętać.

O tym, że miłość Twą cenimy bardzo
Świadczy i wdzięczność za to samo zawsze,
To, że przez Ciebie nikt innym nie gardzi
I dzieli miłość z słowem najtłaskawszym.

Pozwól więc kochać nam — miłością czystą:
Miłość jest lekcją, której uczył Chrystus.

tłum. A. P.

Tadeusz NUCKOWSKI

Widowiska wielkanocne w dawnej Polsce

W Polsce tak jak w całej chrześcijańskiej Europie (choć u nas o wiele uboższe) istniały widowiska teatralne związane z większymi świętami, jak Boże Narodzenie, Wielki Post, a zwłaszcza Wielki Tydzień, Wielkanoc, Wniebowstąpienie i Boże Ciało. Tematyka ich wiązała się z treścią uroczystości, którą miały uświetniać. Pozostałością misterioru o Bożym Narodzeniu i Trzech Królach, żywą niemal do dni dzisiejszych, są np. popularne jasełka, które w artystycznym ujęciu gościły nawet na scenach teatrów zawodowych, (można tu wymienić — z dawniejszych „Bettlejem polskie” L. Rydla, a z nowszych zegadłowiczowską sztukę „Gdy się Chrystus rodzi”).

Z wielce zróżnicowanego zespołu utworów, określonych jako wielkanocne, a obejmujących również jednodniówki i cykle pasyjne, wydzielamy sztukę przeważnie niedochowaną o tematyce ściśle wielkanocnej (tj. od momentu Zmartwychwstania do ukazania się Chrystusa apostołom i Tomaszowi). Zajmiemy się tu tylko najważniejszymi spośród nich.

Najstarszą, najbardziej pierwotną formą widowisk religijnych, tkwiącą jeszcze w obrzędzie kościelnym, były officja łacińskie, bardzo szczupłe i powściągliwe, sięgające XII w., w Europie nawet X w. Bardziej rozbudowane niż officja, a szczuplejsze niż misteria były l u d u s y, pojawiające się w Europie już w XIII w. i często posługujące się językami narodowymi. Jeśli chodzi o Polskę, to — o ile wiemy — nie dochował się żaden tekst ludusowy. Mówią o nich tylko liczne wzmianki kronikarskie. Rozwiniętą formę teatralną reprezentowały misteria.

Dzięki St. Windakiewiczowi („Dramat liturgiczny w Polsce średniowiecznej” Kraków 1903. Rozprawy Wydz. Filol. Akad. Umiejętn. t. 34, 1 odb.) znamy 3 polskie teksty officjów rezurekcyjnych, znalezione w starych antyfonach w archiwum kapituły krakowskiej: 1) Officium Sepulchri katedry krakowskiej z XII (XIII?) w.

2) Officium Sepulchri z połowy XV w. i 3) Officium Sepulchri katedry krakowskiej z r. 1471.

Wiadomo, że — pisze Windakiewicz — „Officium Sepulchri” pojawiło się w Europie w X w., do trwało zaś aż do XVIII. Przed wcieleniem do wielkich misteriorów przeszło trzy fazy rozwojowe, stosownie do tego, czy obejmowało samo tylko odwiedzenie grobu przez Marię czy też było rozszerzone scenami dodatkowymi tzw. gonitwą Apostołów (Wettlauf der Apostel), albo ukazaniem się Chrystusa Magdalenie w ogrodzie. Officia krakowskie zawierają gonitwę Apostołów, czyli zatrzymanie się na drugim stopniu rozwoju.

Jeśli chodzi o misteria, najbardziej typowym i popularnym na przestrzeni w. XVI — XVIII zjawiskiem była „Historia o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim z czterech S. Ewangelistów zebrana wierszykami spisana przez księdza Mikołaja z Wilkowiecka, zakonnika częstochowskiego”, misterium w 6 „częściach” (aktach) z prologiem (bez epilogu), pisane wierszem 8-zgłoskowym. Ze utworu cieszył się popularnością świadczy fakt, iż oprócz pierwotnego wydania z 2 połowy XVI wieku (z niego dokonał przedruku w r. 1893 St. Windakiewicz w „Bibliotece Pisarzy Polskich” Akademii Umiejętności w Krakowie, nr 25), wyszła już przeróbka w wierszu 11-zgłoskowym na początku w. XVII; poza tym skrót jego znalazł się w rękopisie teatralnym szkoły chełmińskiej z 2 poł. tegoż wieku; kilka fragmentów dostosowało się do nieznanego bliżej „Historia Passionis” (wspomnianej przez Juszyńskiego w „Dykcjonarzu poetów”); wreszcie w r. 1757 wyszedł tekst,

znow wierszem 8-zgłoskowym, z pewnymi zmianami, wydany przez Jana Małachowskiego, kanclerza koronnego.

O. Mikołaj z Witkowicka, którego szczegółów biograficznych nie znamy, był zakonnikiem i kaznodzieją w klasztorze jasnogórskim, a prócz tego autorem kilku drobiazgów, jak „Historia o św. Annie, Panny Marii Matce, a Pana Chrystusowej starce”, 1577 (przekład z łaciny); „Historia o św. Stanisławie”, 1578 (przekład z Długosza) „O mszy św. opisanie...” 1586; „Flores sermonum”, 1584 (po łacinie). Najważniejszym jego utworem jest jednak „Historia o chwalebnym Zmartwychwstaniu”. Misterium to różni się od officium obszernością (1392 wiersze) oraz tym, że jest pisane polską mową wiązaną.

Akcja opiera się tu niemal dosłownie na tekście ewangelicznym, co jeszcze bardziej uwidacznia się przez to, że Ewangelia (konkordancja 4 Ewangelistów w przekładzie Leopolda) poprzedza — przed każdym zwrotem akcji — odpowiednią partię dialogu. Odchyleniem w kierunku swobody twórczej są niektóre scenki rodzajowe oraz cała centralna najobszerniejsza część czwarta (gdzie zamiast tekstu ewangelicznego recytuje się — tylko raz, na początku — urywek psalmu 23 (XXIII 7-8) i piąty artykuł Składu Apostolskiego), osnute na apokryficznej „Ewangelii Nikodema” i na „Pieśni o Zmartwychwstaniu Pana Jezusowym, bardzo nabożnej i wesołej”, a nawet częściowo (w scenie wysłania poselstwa do Marii) na naiwnym, XV-wiecznym pomysle kaznodziejskim Baraleta.

Dawniejsi badacze niechętnie przyznawali utworowi ks. Mikołaja walory artystyczne. Tymczasem baczniejszy wgląd w tekst dostarcza ciekawych spostrzeżeń. Trzeba się zgodzić mimo wszystko, że styl jest często dość koślawy. Całe partie są niewolniczym przewierszowaniem — nazwijmy po imieniu — wulgaryzowaniem Ewangelii. Ale w żaden sposób nie można tego generalizować w stosunku do całego utworu. Już samo mistrzowskie wprost rozłożenie partii muzycznych kategorycznie temu przeczy.

Należy również zanotować szereg pysnych scen rodzajowych, kreślonych przez autora w momentach, gdy zdobywał się na własną inwencję. Sceny te są obiecującymi zadatkami przyszłych intermedjów i samorodnej komedii polskiej.

Najbardziej oryginalna jest apokryficzna część czwarta. Jest ona zarazem najważniejszą kompozycyjnie. Autor nie kępował wiernością wobec tekstu kanonicznego, popuścił wodze fantazji. Może kogoś razić ujęcie postaci Chrystusa, mogą razić dosadne wyrażenia w Jego ustach, ale nie ulega wątpliwości, że zarówno postaci jak akcja odznaczają się dużą plastyką i znajomością psychiki ludzkiej.

Na początku aktu widzimy Jezusa dobijającego się do furty piekielnej. Przerażeni szatani (Lucifer i Cerberus) nie chcą Go wpuścić. Dobija się więc po raz drugi i trzeci „tłukąc do piekła” i wołając jak jakiś spóźniony, zniecierpliwiony długim oczekiwaniem nocny przechodzień do bramy domu. Dostaje się przy tym szatanom:

A nie wieleż to, Lucyperze,
Tak markotać, piekielny psie,
Na Pana Boga mocnego,

Który to tam teraz klóci
I wnet cię chorągwią zmlóci?

(w. 566-568, 570-571)

Zanim za trzecim dobijaniem otworzą się wrota piekielne, szatani klóca się z więzionymi patriarchami

i prorokami. Zniecierpliwiony pogrozkami Cerberusa, Oreas wymyśla mu, jakby się znajdował wśród żaków, od beanów i psów (w. 544-545). A kiedy Abraham prosi Chrystusa, aby przyspieszył swe zwycięstwo nad piekłem, Cerberus grozi mu:

AD IDEM, bracia, AD IDEM,
Do browaru z owym dziadem

(w. 588-589)

„Ad idem, bracia, ad idem”, to hasło żaków krakowskich, napadających na brogi i zbory protestanckie w latach 1570-1600.

Po pęknięciu wrót piekielnych Chrystus, zgodnie z koncepcją artystyczną autora, ujmuje Lucifera na łańcuch (w wydaniu Małachowskiego z r. 1757 nawet ugania się za nim po piekle), aby go potem strącić w czeluście piekielne. Uwięziony Lucifer biada, że Chrystus wyludnił mu piekło. Cerberus uspakaja go, kreśląc przy tym dosadną i zgrabną satyrę społeczną, przypominającą „Rozmowę mistrza ze Śmiercią” („De Morte prologus”) z XV w.:

Nagrodzím to w krótkiej chwili
Pomścím się tego w klasztorach,
W karczmach, w szpitalach, we
dworzecach.

Będziem wadzić mnichy, popy,
W karczmie niewiasty i chłopcy,
W szpitalu baby z dziadami,



W dworzecach pany z ministrantami.
Zaści się nam te pokoje
Wnet napelnia tyle troje.
Z szynkarek niesprawiedliwych
I z panienek nieprawdziwych.
Będziem je wózić na takach
W trepelach, w szerokiach tkankach.
Krótkich mi się chce łokietków,
Małych miarek i też funtków.
Powagi też zamujemy,
W sukniach się wózić będziemy:
U pań na długich sajanach,
U panów w wielkich kołnierzach. itd.

(w. 639-657)

Wyobraźmy sobie, że mielibyśmy dziś wystawić, w postaci autentycznej, misterium Mikołaja z Wilkowiecka. W pewnych miejscach eliminowalibyśmy wielość i brak kondensacji. Ale z drugiej strony sam tekst kuszył by nas do precezyjnego wystudiowania scen pantomimicznych, takich jak narada „Biskupów z Pharizeuszem” w części trzeciej („I ustąpią trochę stróża, a biskupi z Pharizeuszem schyliwszy się, będą w rzeczy radzić”) lub wokalnomiczna scena poselstwa anielskiego do Marii przy końcu części czwartej („Anioł przyszedłszy do Maryjej zaśpiewa: Regina coeli laetare. A drudzy continuabunt: Alleluia. Quia quem mernisti portare, Alleluia. Resurrexit sicut dixit. Alleluia).

Jest to już sztuka skomplikowana i wymaga stosunkowo rozbudowanej aparatury scenicznej, nie tak prostej jak w officjach. Przede wszystkim liczba osób: 35 (bez chórów), którą w ostateczności (przy dublowaniu niektórych ról) można było zredukować o 14 osób. Poza tym potrzebna była obszerna scena, w tym wypadku z dwoma kondygnacjami: ziemią i piekłem. Na „ziemskiej” scenie były różne „przyprawne na to kąty”, wyobrażające różne miejsca akcji; jedno np. oznaczało dom Piłata, a drugie grób Chrystusa, tak że kapłani z żołnierzami po wyjściu od Piłata bezpośrednio przychodzili do grobu. Podobnie było w innych wypadkach, co potwierdza układ całego tekstu. W edycji Małachowskiego zaznaczono, że były również namioty. Ustawiano w nich — zależnie od akcji — niezbędne rekwizyty, jak np. siedzenie dla Piłata, stół aptekarski, stolik nakryty i „zastawiony” (dla sceny emausowej). Piekło na scenie misterijnej mieściło się zazwyczaj na najniższej kondygnacji, w naszej sztuce — drzwiami do widzów, gdyż przy „forcie” toczyła się główna akcja części czwartej.

Wśród kostiumów przeważają szaty liturgiczne. W albie, stule, kapie, z palmą w ręce i wieńcem na głowie występuje Prolog Ewangelista (jak mówi wydanie z r. 1757). Podobnie ubrany jest Chrystus („w albę, stulę i w kapę, z chorągiewką w rękę”); który tylko w scenie ukaza-

Liczne instrukcje dotyczą natężenia głosu i intonacji wygłaszanych kwestii, jak również gestów i posługiwanie się rekwizytami.

Jeśli chodzi o specjalne efekty sceniczne, to zainteresować nas może, jak ówczesna scena przekładała na „język teatralny” tekst Ewangelii: „A oto ziemię trzęsienie stało się wielkie. Albowiem Anioł Boży stąpił z nieba i przystąpiwszy, odwalił kamień i siedział na nim”. W didaskaliach o Mikołaju: „Tu mogą molojcy, naprawni na to, obyczajnie strzelać z rusznicy. A tymczasem aniołowie odkryją grób i siedzą w nim, każdy osobno”. I „molojcy” z takim zapalem strzelali, że o misteriach dawno słych wśród ogółu zaginęła, a strzelanie w czas rezurekcyjny przy naszych kościołach przetrwało aż do XX w. Abstrahując jednak od tej dygresji obyczajowej, trzeba podkreślić umiar artystyczny sceny zmartwychwstania (nie widzimy Jezusa wychodzącego z grobu) przez co zyskuje ona na sile oddziaływania.

Ciekawe są dwa inne szczegóły: 1) W scenie kupowania ziół i olejków u Rubena (część wtóra) „może aptekarz — jak mówi instrukcja — uczynić jakąś wonność...” 2) W scenie piekielnej (cz. IV) „Cerberus otworzy trochę do piekła, a wydadzą jaki płomień i smród i ukazawszy się we drzwiach trochę, zamknie prędko, brząkając...” Mamy tu (choć sporadycznie tylko) próby oddziaływania na wyobraźnię widza za pomocą zmysłu powonienia. Przypomina się okadzenie grobu (też jako efekt sceniczny) w „Officium Sepulchri”. Jeśli zestawimy to z całą scenografią, kostiumologią, zespołem wokalnomicznym oraz z całym systemem deklamacyjno-mimicznym omawianej sztuki, uprzytomnimy sobie w pełni, jak wszechstronnie starał się autor oddziaływać na swego odbiorcę, tj. na najszersze warstwy ludowe, aby — operując trafnie zaobserwowanymi obrazkami z życia północnego — przedstawić im zmysłowo obchodzącą je żywą prawdę religijną o zwycięstwie nad złem i śmiercią. A jeśli zważymy przy tym, że — mimo pewnych nieporadności i naiwności — tymi elementami działał — zwłaszcza w warstwach tutaj przez nas wydobytych — na ogół sprawnie, trudno nie przyznać, że — nawet w odczuciu dzisiejszego człowieka — utwór jest wyposażony w pokaźny zasób rzetelnych wartości artystycznych, a autorowi nie brak było żwawego wycucia sceny. Teraz w pełni rozumiemy, że powodzenie jakim cieszyło się misterium częstochowskie przez dwa wieki, było w pełni uzasadnione.

Widowiska wielkanocne, tak niedgdy ulubione, nie dotrwały jako zjawisko powszechne i żywe do naszych czasów. Na początku XX w., po tamtej wojnie, ożyła po artystowsku wskrzeszona tradycja „Misterium Wielkanocnego” (obok jasełkowej „Pastorałki” — w układzie Leona Schillera) w repertuarze Reduty, z którym obejdziała ona w swych pierwszych podróżach Polskę. „W terenie”, wśród mas pozostał (prócz wspomnianego strzelania) m. in. jeden niezawodny ślad: stawianie warty u Bożego Grobu. I kiedy — zgodnie z panującym jeszcze do dziś w niektórych okolicach obyczajem — celebrians przed procesją rezurekcyjną unosi z Bożego Grobu monstrancję z Najsw. Sakramentem, aby zaintonować dostojną melodyką i wiekiem pieśń: „Wesoły nam dziś dzień nastał”, a straż przy grobie pada na twarze z łomotem halabard, to odnosi się wrażenie, że to inscenizacja starego misterium o Mikołaju z Wilkowiecka: „I padnie na ziemię, chrzęszcząc zbroją. Także i drudzy uczynią, wołając wiersze swoje (...) „Strach, przebóg, strach mię zemuje”.

Skrupulatnie wymieniono różne rekwizyty, niezbędne dla akcji scenicznej: broń dla żołnierzy, woreczki na pieniądze i liczmany dla niewiast, puszek z olejkami i ziołami, łańcuchy dla diabłów, rydel, motyka i graca dla Chrystusa w postaci ogrodnika itd.

Spór o scholastykę średniowieczną

P O reakcji XVII i XVIII w. która widziała średniowiecze jako okres barbarzyństwa, niewolniczej podległości i wobec Kościoła i wobec Arystotelesa, w początku wieku XIX zaznaczył się zwrot zainteresowań, zarówno do kultury Średniowiecza, jak do jego filozofii.

Sprzyjały temu dwa prądy: romantyzm, który w swym poszukiwaniu egzotyki, powiedziano by dziś eskapizmu, wybiegał nie tylko w przeszłość, ale i w przyszłość, oraz pochodzący z Francji kierunek filozoficzny zwany eklektyzmem, którego twórcą był Wiktor Cousin i który stawiając sobie za zadanie wykorzystanie całego zasobu dotychczasowej myśli filozoficznej wychował kilku historyków dużej miary.

Każdego kto zetknie się bliżej z pracami wybitniejszych historyków scholastyki średniowiecznej z ostatnich stu lat uderzą rozbieżności w pojmowaniu myśli średniowiecznej oraz wpływu, który miała ona mogła na nowoczesną myśl filozoficzną. Wskazuje to, że najwidooczniej dalecy jeszcze jesteśmy od ostatecznego zgłębienia wiedzy o tym ważnym dla kultury katolickiej okresie dziejowym.

Jeden zasadniczy podział jest jednak ogólnie wśród historyków przyjęty: rozróżnienie między poglądami na scholastykę szkoły racjonalistycznej i szkoły katolickiej. Podział taki może zaskoczyć a niektórych nawet razić. Czyż nie zdarza się, aby historycy niezależnie od swego światopoglądu, stwierdzali te same fakty, jednakowo patrzyli na te same zdarzenia?

W danym wypadku jednak nie chodzi tylko o stwierdzenie faktu, ale również o ich ocenę: wiara lub niewiara w boskie źródło chrześcijaństwa łączy się z taką lub inną oceną jego wpływów kulturalnych. Czy może być co do tego jakiejś wątpliwości?

Religia, która by była w swych założeniach fałszywa, może stać się bodźcem dla głębokich poszukiwań filozofa — zdarzyło się to religiom pogańskim. Jednocześnie religia prawdziwa może także w poszczególnych wypadkach, zahamować rozwój myśli filozoficznej przylgnięciem do wiary, a niekiedy do zaspokoleniem, jakie wiara daje. Niemniej fakt pozostaje faktem, że historycy szkoły racjonalistycznej przystąpili do studiów nad scholastyką z nastawieniem antyreligijnym, z mniej lub bardziej jawną antypatią do kultury chrześcijańskiego Średniowiecza. Wynikło to, rzecz jasna, z głębokiego rozdziwisku, który się wtworzył od czasu Odrodzenia i Reformacji między kształtującymi się osobno światami wierzących i niewierzących, między humanizmem pogańskim i humanizmem chrześcijańskim.

Jak przedstawiła się scholastyka humanizmowi pogańskiemu?

P OMIMO pewnej gradacji odcieni, linia historyków racjonalistów jest jednolita. Wszyscy oni uważają, że chrześcijaństwo paraliżowało rozwój filozofii, kępiając wolność myśli i narzucając koncepcje objawiona, zwalnając człowieka od poszukiwań osobistych, że przyczyniło się do rozwoju spekulacji religijnej, która stała się dla filozofii tym samym co alchemia i astrologia w stosunku do chemii i astronomii.

Może najbardziej znanym spośród nich jest Jan Baptysta Haureau, który przed wiekiem (w 1850) wydał 2-tomową pracę „De la Philosophie Scolastique” (O filozofii scholastycznej), a w okresie 1872 — 1880 3-tomową wielką historię filozofii scholastycznej.

Dla Haureau, w filozofii wypracowanej przez szkoły średniowieczne (stad nazwa scholastyka) rzecz zasadnicza jest spór o uniwersalia, starcia między realistami a nominalistami. W tych ostatnich widzi on istotnych zwiastunów racjonalizmu współczesnego i filozoficznego postępu.

Wybitnym historykiem scholastyki następnego pokolenia racjonalistów jest Francuz Franciszek Picavet (zm. 1921). Główną swą pracę „Esquisse d'une histoire generale et comparee des philosophies medievales” (Zarys historii ogólnej i porównawczej filozofii średniowiecznych) wydał w r. 1905.

Podkreśla różnorodność i różnorodność myśli średniowiecznej, toteż on i jego szkoła używają terminu **filozofie średniowieczne**, zaleca studia porównawcze filozofii ukształtowanych w różnych środowiskach religijnych, a więc chrześcijańskim, żydowskim i arabskim. Uważając wszystkie filozofie średniowieczne za filozofie religijne odrzuca dla Średniowiecza roz-

rózniczenie między filozofią a teologią. Scholastykę określa jako usiłowanie człowieka wierzącego, aby Objawienie wytlumaczyć racjonalnie i odzyskać w ten sposób racjonalne wartości, które stanowiły o wielkości myśli starożytnej. Inspirowatorem średniowiecznej myśli filozoficznej, tak u chrześcijan, jak u Żydów i u Arabów, nie jest zdaniem Picaveta Arystoteles, lecz Płaton. Dla Picaveta filozofia średniowieczna jest neoplatoniska.

Poglądy zbliżone wyraża również drugi Francuz Leon Gautier, historyk filozofii arabskiej w dziele „Scolastique musulmane et scolastique chretienne” (Scholastyka muzułmańska i scholastyka chrześcijańska) 1928 Dla niego, jak dla Haureau i Picaveta — scholastyka jest próbą uzgodnienia rozumu i wiary. Istnieją zatem scholastyki chrześcijańska, żydowska i muzułmańska, lecz katolicka, posiadając własny żywy autorytet doktrynalny, jest we wszystkich najbardziej skrupowana.

Również i dla aktualnie najwybitniejszego przedstawiciela oceny racjonalistycznej **Emila Brehiera**, dzieje filozofii średniowiecznej — to dzieje myśli ludzkiej opanowanej przez chrześcijańską koncepcję zbawienia i sparaliżowanej przez autorytet doktrynalny.

Filozofia Zachodu tylko w małym stopniu uległa wpływom chrześcijaństwa. W pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej filozofia rozwijała się równoległe do chrześcijaństwa, które nie sięgało poza zagadnienia moralne i praktyczne. W wiekach średnich filozofia traci swą autonomię, zostaje uzależniona od dogmatu, aż po wiek XIII, kiedy to wraz z wprowadzeniem odnalezionego Arystotelesa zaczyna się bolesny proces emancypacji, którego uwieńczeniem będzie Odrodzenie. Zalałami się wielkie przedsięwzięcie pogodzenia wiary i rozumu, gdyż te dwa czynniki nigdy nie dają się pogodzić.

P IERWSZA wielka historia scholastyki, napisana przez katolika pojawiła się w latach 1864 — 1866. Była to trzypięciotomowa „Geschichte der Philosophie des Mittelalters” (Historia Filozofii Średniowiecznej) **Alberta Stöckla**.

Stoi on na stanowisku, że istnieje nauka filozofii różniaca się swą racjonalną metoda od teologii.

Przełomowym momentem dla katolickich historyków filozofii jest jednak dopiero ogłoszenie przez Leona XIII, w r. 1879, Encykliki „Aeterni Patris”, w której określona została jasno istota scholastyki. Jest ona ta filozofia, która rozwinięła się w Średniowieczu w atmosferze chrześcijańskiej. Jest, zatem, **niezaprzeczalnie filozofia, koncepcja czysto rozumowa, przeciwieństwo do teologii**, która jest nauka o objawieniu. Najwyższy swój wyraz znajduje ta filozofia u św. Tomasza z Akwinu. Leon XIII uważał za szczególnie dodatnią cechę nauki św. Tomasza, że potrafił on rozgraniczyć dziedzinę rozumu od dziedziny wiary i wykazał, że rozum działa pod kontrolą wiary, bez uszczerbku dla swych praw.

Po r. 1879 założenie to uwzględniła zasadniczo wszystkie katolickie historycy filozofii średniowiecznej. Nie zmienia to faktu istnienia pewnych różnic w ich poglądach.

Kardynał **Franciszek Ehrle** (1845 — 1934) określa scholastykę jako uciele filozoficzne osiągnięte przez współpracę myśli chrześcijańskiej z myślą Arystotelesa. Chrześcijaństwo strzeże prawd objawionych, które są nieomylnie Nauka Arystotelesa, ze swej strony wnosi najszerzej osiagnięcia myśli starożytnej. Spotkanie tych dwóch kierunków nastąpiło w w. XII, a doszło do swej pełni w w. XIII. Taka dojrzała scholastyka składa się z teologii i filozofii. W pierwszej decydująca rolę gra czynnik chrześcijański, w drugiej arystotelesowski. Ehrle dopatruje się w rozwoju scholastyki po r. 1270 iżby kryzysu wywołanego wzmocnionym wpływem myśli św. Augustyna. W zyciestwie św. Tomasza widzi pokonanie niebezpieczeństwa ulegania idealizmowi, które groziło filozofii chrześcijańskiej.

Mniej zdecydowanie tomistyczne stanowisko zajmuje drugi wybitny historyk niemiecki **Klemens Baumer** (1853 — 1924). Podkreśla on w swoich pracach związek filozofii scholastycznej z całością kulturą średniowiecznej. Poświęcił się on szczególnie badaniu wpływu Platona na myśl średniowieczną i wskazywaniu na istotną jedność tej myśli, wyrażając się (mimo różnic między poszczególnymi szkołami) wspólnym

dobrym (Gemengut), który wzbogacał się aż do końca XIII w., a roztrwoniony został w okresie rozkładu scholastyki w XIV w.

W przeciwieństwie do poglądu o. Ehrle, według którego konflikt między augustynizmem a tomizmem rozgrywa się zaraz po roku 1270, dla francuskiego historyka scholastyki o. **Madonnet** (1858 — 1936) filozofia św. Augustyna jest kierunkiem tradycyjnym, panującym od początku średniowiecza i sięgającym korzeniami do Platona. O. Madonnet uważa, że cechą charakterystyczną nauki św. Augustyna jest brak dostatecznego rozróżnienia między funkcjami filozofii a teologii. W XIII w. rozgrywa się dramat wtargnięcia arystotelizmu, utworzenia się, dzięki Albertowi Wielkiemu i Tomaszowi z Akwinu chrześcijańskiej arystotelesowskiej filozofii, różniacej się wyraźnie od teologii, następuje walka filozofii tomistycznej z konserwatywnymi tradycjami augustyńskimi z jednej strony, z arystotelesowskim averroizmem z drugiej strony; walki zakończone, jak wiadomo, częściowym przynajmniej zwycięstwem tomizmu. Według o. Madonnet to augustyńska konserwatywna tradycja ponosi odpowiedzialność za uprzedzenia panujące dotychczas w kołach racjonalistycznych.

Poglądy Maurycego De Wulf (1865 — 1947) wyraziły się bardzo szeroka syntezą, z której wycofał się częściowo po r. 1925. W pierwszej fazie De Wulf umiował dzieje scholastyki jako formowanie się, a potem rozpad jednolitej „scholastycznej syntezy”. Walki toczone przez tomizm posiadają u niego mniej dramatycznego napięcia niż u o. Madonnet, gdyż nie miała do czynienia z jednym przeciwnikiem — sięgającą aż do Platona tradycją, lecz z wieloma nie sformułowanymi jeszcze dokładnie filozofiami, na które składały się nie tylko poglądy św. Augustyna, lecz również i Arystotelesa. Też tak uietej doktrynie scholastycznej przeciwstawia on filozofie antyscholastyczne i niezależne.

Po r. 1925 De Wulf wycofuje się, na skutek wywołanych krytyk, z koncepcji „scholastycznej syntezy” i „filozofii antyscholastycznych”. Zbliża się on do Baumkera i do jego koncepcji „Gemengut”, nie wykluczającej istnienia rozmaitych syntez, przekraczających dość szczerpą dziedzinę wspólnej doktryny.

Najmłodszym historykiem scholastyki, jest niedawno zmarły **mons. Grabmann**. Poglądy jego nie różniły się wiele od poglądów Baumkera. Zasluga jego polega na oświetlaniu, dzięki rozlicznym pracom, intensywności życia filozoficznego w XIII oraz szczegółów dotyczących penetracji i rozwoju filozofii arystotelesowskiej do poszczególnych szkół. Użytkowano dzięki niemu dużo dokładniejszy obraz istoty tych szkół oraz prządów i konfliktów doktrynalnych z których składa się watał dziejów scholastyki.

Wielki francuski filozof Gilson jest dotychczas niezaprzeczanym czelownym teoretykiem scholastyki wśród katolickich pisarzy XX w. Działalność naukową Gilsone jest, pod pewnymi względami, iżby próba uzgodnienia stanowiska historyków racjonalistów z historykami katolikami.

Wraz z tymi ostatnimi głosi, że Średniowiecze wydało autentyczne filozofie. Pierwszym zaś przyznaje się filozofie te mała charakter specyficzny, dzięki dodatniemu wpływowi chrześcijaństwa. Poglądy te są tylko sprecyzowaniem tych, które wyraził pierwszy Stöckl i Ehrle, a które utrwalili Encyklika „Aeterni Patris”. Sprecyzowanie to, jednak, jest już dziełem Gilsone.

Silniej od swych katolickich poprzedników podkreśla on różnorodność filozofii scholastycznych, głębokie różnice ducha i doktryny między augustynizmem a arystotelizmem, przede wszystkim — między św. Bonawenturą a św. Tomaszem. Wraz z wpływem o. Ehrle zaznacza się tu pewna zbliżność z teoriami Picaveta o filozofiach Średniowiecza.

Odbyta w Rzymie w roku 1950 Międzynarodowa Konferencja Historyków Scholastyki zajęła się podsumowaniem dorobku wszystkich zróżnicowanych szkół, badających katolicką filozofie Średniowiecza. Nakreślone wówczas plany powolny pomóc w opracowaniu w najbliższym okresie prac syntetycznej, która by przedstawiła ogólny dorobek osiągnięty w ciągu stu lat na tym odcinku badań historycznych.

K. K. — K.

O »LISTACH NIKODEMA«

(Dokończenie ze str. 4)

Jordan do Jana Chrzciciela, ono popycha go ku Chrystusowi; po życie dla Rut przybędzie do Jezusa na nocną rozmowę, w tym samym celu razem z rzeszą będzie wędrował za Nim po Galilei. Nikodem widzi w Chrystusie tylko jeden ze środków ratowania dziecka, zwraca się doń, jak przedtem zwracał się do dzieł lekarzy i znachorów. Za cenę uzdrowienia Rut gotów jest uznać w Nim Mesjasza. A mimo to nie ośmiela się nigdy prosić Jezusa o to, choć wielokrotnie sam jest świadkiem cudów. I długo nie wie, nie rozumie, dlaczego nie potrafi zdobyć się na tę prośbę. Rut umiera. Nikodem buntuje się, złozycecy nawet chwila Chrystusowi, zaprzecza Jego Boskiemu Posłannictwu a jednak nie odchodzi. Tajemnica Jezusa spędza mu sen z powiek, przyciąga z nieodpartą siłą.

Stopniowo Nikodem zaczyna pojmować, że śmierć dziecka ma jakiś nieznamy mu jeszcze, ukryty sens, że w jakiś niezrozumiały sposób wiąże go z Jezusem, że musi iść za Nim, by odnaleźć siebie samego. „Jego nauka — pisze do Justusa — nie przypomina nauki greckich filozofów. Oni wyjaśniali świat od razu, opowiadali jaki jest. On chce by człowiek szedł od odkrycia do odkrycia, aby sam wyjaśniał sobie wszystkie tajemnice. On nie uzbiera przed życiem. Rzucą niezrozumiałe słowa, które nie wiadomo jak i kiedy odkrywają swój sens. Czasem wydaje się, że zaprzecza samemu sobie. Słyszałem jak mówił wiele razy, „bądźcie jak dzieci, trzeba abyście byli jak dzieci”. A jednocześnie te niepojęte słowa, które zdają się mówić: musicie do nich dorosnąć. Lecz kto dorasta, nie jest już dzieckiem, kto jest dzieckiem, musi pogodzić się z tym, że nie rozumie świata...”

Nikodem powoli dorasta do uświadomienia sobie swej godności Bożego dziecka. I nagle w dzień ukrzyżowania skierowane doń wezwanie Chrystusa „daj mi swoje troski” odsłania przed nim istotną treść. Nikodem z bólem i pogardą dla samego siebie wyznaje: „On umarł by mi pokazać, że gotów jest wszystko zrobić dla mnie. Nie wiem dlaczego tak jest, ale On umarł za mnie. To był mój krzyż, do którego Jęgo przybili. Mój krzyż... A Jego krzyż?... Co ja wzięłem na siebie... Nic... nie nie zrobiłem. Chciałem tylko patrzeć. Zatrzymałem dla siebie swój strach, moje troski”

D ROGA Nikodema do Chrystusa to droga cierpienia u której początku jest konanie i Rut rodzica niepokój w duszy ojca, nakazujący mu szukać sensu tej śmierci i przyczyny zesłanych nań doświadczeń. W miarę jak Nikodem wnika coraz głębiej w naukę Jezusa, jak zbliża się do Niego, odkrywa sens swego cierpienia i jego twórczą rolę, zdaje sobie sprawę, że dane mu ono zostało od Boga w ściśle określonym celu, że i ono jest

Laską. Dla Nikodema, podobnie jak dla innych faryzeuszów, prorocstwa Starego Testamentu stanowią niemal martwy przedmiot zrutytnizowanej erudycji, interpretacyjne spory przesłoniły im już od dawna prawdziwe przeznaczenie tych tekstów; pograżonym w przesadnych dociekaniach Mesjasz wydaje się coraz dalszy, przyście Jego coraz mniej realne. I rzecz charakterystyczna — Nikodem dopiero wierząc w Jezusa zdaje sobie sprawę z faktu, że na Jego Osobie sprawdzają się wszystkie zapowiedzi proroków.

Wydaje mi się jednak, że w tym miejscu należy zanotować u Dobraczyńskiego pewne potknięcie psychologiczne. Nikodem, jak na faryzeusza tego okresu, zbyt mało przywiązuje wagi do wywodów rozumowych, zbyt łatwo odchodzi od porównywania obserwowanych faktów z refiguracją Pisma św. na rzecz przeżyć czysto emocjonalnych. Dziwne wydaje się, że

ten rabbi, daleki od wewnętrznego skostnienia, tak późno, bo dopiero spotkawszy Chrystusa po Zmartwychwstaniu na drodze do Emaus, uświadamia sobie wymowę prorocत्व. Jeśli chodzi o inne postacie „Listów”, to jak wspomniałem poprzednio, autor zachowując zasadniczy ich rysunek przekazany przez Ewangelię nie tyle pogłębił je, ile wzbogacił szeregiem szczegółów natury zewnętrznej i opisowej.

Uwagę zwłaszcza zwraca świetne potraktowanie Judasza, to nie przesadne i nie mające żadnego pokrycia poza chimeryczną wyobraźnią supozycje jak np. u Andrejewa, lecz niezwykle wnikliwe odmalowanie niewątpliwego dramatu kupeczyka z Kariothu, dramatu zawiadzonych nadziei małego człowieka. Z dużym autentyzmem odtworzył też Dobraczyński postaci Apostołów a zwłaszcza Piotra, bardzo plastycznie wyparł opis mieszkańców domku Łazarza w Betanii. Pewne zastrzeżenie budzi natomiast Piłat w ujęciu autora „Listów”. Jego charakterystyka neoklasyzmu żołądka o barbarzyńskim pochodzeniu klóci się z zachowaniem prokuratora w dniu męki. Nieprzekonująco moim zdaniem wypada tłumaczenie jego stosunku do Jezusa polityczną rozgrywką z Sanhedrynem. Trudno jednak robić z tego jakikolwiek zarzut. Wokół zagadnienia tego nie od dziś toczy się dyskusja, pozostawiona całkowicie szansy definitywnego rozstrzygnięcia.

K SIAZKA Dobraczyńskiego jest jednak czymś więcej niż historyczną powieścią o Nikodemie, mającą za cel ukazać Chrystusa widzianego przez naocznych świadków jego pobytu na ziemi. Dzieje Nikodema należy traktować jako metaforę, jako dzieje tysięcy ludzi dążących do Chrystusa, upadających, cofających się, wątpiacych, a przecież ciągle idących naprzód. Myślę, że największym osiągnięciem książki jest to, że Nikodem pozostając człowiekiem swej epoki jest jednocześnie każdym z nas, że jego przeżycia są naszymi przeżyciami. „Listy Nikodema” są opowieścią o ludzkim cierpieniu, artystyczną, bo na wysokim poziomie transpozycją rozprawy, którą można by napisać o sensie cierpienia w życiu człowieka. Ta książka zmusza do myślenia, nieodparcie nasuwa tysiące analogii, mówi o nas samych i o naszych bliźnich i wiele zapewne tłumaczy szukającym. Jest taką, jak ktoś kiedyś nazwał „apologię romacee” — powieścią, którą za pomocą czysto artystycznych środków daje wykład prawd wiary, poucza, nakazuje szukać.

I na tym polega największa zasługa autora „Listów Nikodema”. Książka ta zajmuje bez wątpienia pierwsze miejsce w dotychczasowym dorobku Dobraczyńskiego. Cechuje ją jak poprzednie jego utwory rzetelność sumiennego historyka, gorące ona jednak nad tantymi psychologicznym autentyzmem i zwartością konstrukcji, której forma epistolarna raczej nie sprzyja. Wreszcie język wolny od często niestety dawniej spotykanego u Dobraczyńskiego werbalizmu, oczyszczony z dawnej barokowości i nadmiaru przymiotników. Duża oszczędność środków pisarskich odbija się korzystnie na plastyce opisów, wyprane z gadulstwa dialogi umiejętnie włączone są w tok opowieści. Takie fragmenty całości, jak list XXII, zawierający opis męki, stanowią nie tylko szczytowe jak dotąd osiągnięcia autora „Klucza Mądrości” i świadczą o stałym rozwoju jego twórczej osobowości, lecz należą do tych kart literatury, które potrafią zwycięsko przeciwstawić się czasowi. Listy Nikodema są w polskiej literaturze katolickiej wielkim krokiem naprzód i pozostaną w niej jako trwała pozycja, a kto wie, czy nie zapoczątkują nowego etapu jej rozwoju.

Jerzy Andrzej Górski

Z DYSKUSJI NAD RODZINĄ

O życie religijne w rodzinach katolickich

CELEM, do którego dąży się współcześnie, jest wzmocnienie i pogłębienie wychowawczej świadomości rodziny. Stanowi to zarówno jedno z najistotniejszych zadań jak i najbardziej zasadniczy, po miłości rodzinnej, psychologiczny element więzi. Zagadnienie to poruszyła a nawet szerzej rozwinęła p. Żurowska w swoim artykule dyskusyjnym o rodzinie współczesnej. Zabierając w tej dyskusji głos, chciałbym zwrócić uwagę, że dla rodziny katolickiej praca nad pogłębieniem świadomości wychowawczej posiada oprócz aspektu społecznego także poważne i zasadnicze znaczenie ze względu na konieczność realizacji celu pozadoczesnego człowieka. Rodzice są bowiem odpowiedzialni przed Kościołem i przed Bogiem za swoje potomstwo, zarówno pod względem fizycznym jak i duchowym.

Każda rodzina katolicka musi jasno i wyraźnie uświadamiać sobie, że wychowuje zarówno obywatela, jak i katolika.

Chciałbym więc zająć się specjalnie sprawą wychowania religijnego w rodzinie katolickiej.

KONCEPCJA RODZINNEGO ŻYCIA RELIGIJNEGO

WŚRÓD wielu pedagogicznych spostrzeżeń i doświadczeń nie przemija potrzeba precyzowania warunków zasadniczych, istotnych i niezastąpionych, pozwalających rodzinie katolickiej skutecznie spełniać swe wychowawcze zadania. Nie wahamy się twierdzić, że chodzi po prostu o stworzenie atmosfery naładowanej walorami chrześcijańskimi.

Oto niezawodny, skuteczny warunek, by rodzina katolicka odpowiadała wymaganiom pełnego rozwoju osoby człowieka i realizowała myśl Bożą, która wynika z Sakramentu Małżeństwa.

Powiedzmy od razu, co rozumiemy przez rodzinne życie religijne. Mamy tu na myśli sposób, w jaki rodzina przeżywa swój stosunek do Boga, Jezusa i Kościoła. Do boskiej moralności i zasad, o których poucza Ewangelia i Kościół katolicki.

Konkretnie powiemy, że trafne określenie św. Jana Złotoustego: „Ro-

dzina — mały Kościół” stawia nas na właściwej drodze, prowadzącej do zrozumienia, że jeżeli rodzina jest żywą komórką Ciała Mistycznego, to musimy w niej odnajdywać czynniki istotne samego Kościoła. A mianowicie: dobro nadprzyrodzone, wypływające z Sakramentu Małżeństwa i przeżyte w swym integralnym urzeczywistnieniu, zgodnie z cudownym symbolem, którym zaszczycone jest małżeństwo: związek Jezusa Chrystusa z Kościołem. To włączenie rodziny katolickiej do Ciała Mistycznego stwarza warunki do realizowania się w niej wspólnoty wiary szczerzej głębokiej, opartej na intelektualnym rozeznananiu, będącej normą wszystkich działań życiowych. Jest w niej wyczuć Chrystusa, wyczuć obecności Boskiej, wspólnota Łaski, rozwój i promieniowanie Łaski, świętość teologiczna ze wszystkim, z czego ona się składa; wspólnota cnót w ogóle i w szczególności u każdego z członków rodziny: prawdziwa szkoła i ćwiczenie w doskonałości chrześcijańskiej.

Wynika z tego, że na tak wysokim poziomie życia religijnego rodziny spotykamy całą istotę chrześcijańskiego stosunku do Boga a jednocześnie wszystkie warunki do spełnienia prawdziwej misji danej od Boga. Jaką jest życie w rodzinie i dla rodziny. Z tej świadomości płynie siła moralna, która pomaga sprostać ofiarom i obowiązkom rodzinnym, spełnianiu zarówno zadań społecznych jak religijnych oraz w czujności nad codziennym życiem duchowym. Chodzi zarówno o poszanowanie praw moralnych przyrodzonych jak i nadprzyrodzonych, obejmujących wszystkie przejawy życia jednostki i życia rodziny od najtymniejszych do najbardziej ogólnych.

SYTUACJA OBECNA

OBRAZ, który się nam współcześnie przedstawia, nie jest jednak zadawalniający. Istnieje wyraźna dysharmonia między tym, co być powinno a tym, czym jest rzeczywistość życia religijnego tyłu rodzin katolickich.

Chcemy jednak być optymistami i powiedzieć, że dziś jak wczoraj, a może dziś nawet bardziej jak wczoraj,

spotyka się rodziny naprawdę godne podziwu, wewnątrznie zespole, zarówno uczuciem, jak współpracą, wzajemną pomocą i zrozumieniem. Kiedy mówimy jednak, że rodzina nabiera dziś nowej żywotności, nie chcemy powiedzieć, że postępy podobne należy przypisać wyłącznie rodzinom chrześcijańskim i to wszystkim bez wyjątku. Zwracamy tylko uwagę i podkreślamy, że pewna ilość rodzin katolickich stara się przeżywać głęboko zasady naszej religii. Wielu małżonków dziś w samym swym związku szuka i znajduje tajemnicę prawdziwego udoskonalenia się. Stosuje integralne cele małżeństwa, które wykłada Kodeks Prawa Kanonicznego i teologia moralna; przy tym kładą oni specjalny nacisk na wzniosłość swego związku. W małżeństwach tych spotykamy zarówno dbałość o wartości zewnętrzne, zmysłowe, bez szkodliwego jansenizmu, jak całe piękno wstrzemięźliwości. Ze wspaniałomyślnością przyjmują oni obowiązującą ich dyscyplinę moralną i etyczną. Życie duchowe i życie cielesne zespala się tu w sposób prawdziwie doskonały. Małżeństwo staje się w tych warunkach prawdziwym naczyniem Łaski, powołaniem i stanem świętości.

Ta odbudowa religijnego życia rodzinnego staje się jednocześnie skutkiem i przyczyną. Skutkiem — gdy zawdzięcza swe pochodzenie zdolności do włączania całej Ewangelii w całe swoje życie — przyczyną, gdy

oddziaływa na wszystkie przejawy życia rodziny i jednostki, gdy kształtuje zarówno jej stosunek do Boga jak i do społeczeństwa.

Aby być relistami, przyznać musimy, że jest wiele współczesnych rodzin katolickich, które, jeśli chodzi o życie religijne, są zupełnie martwe, ubogie, nieszcześliwe, zdeorientowane, pozostające w przeczności częściowej lub całkowitej z nadprzyrodzonymi prawami chrześcijaństwa i Sakramentu Małżeństwa. Wynika to z niedostatecznie głęboko przeżytych zasad chrystianizmu. Reasumujemy: najbardziej charakterystyczne cechy współczesnego stylu życia wielu rodzin katolickich stanowi nieznajomość wartości nadprzyrodzonych, wynikających z Sakramentu Małżeństwa, niedocenywanie istotnych wartości rodziny, sprowadzanie jej funkcji jedynie do wydawania na świat potomstwa i zaspakajania potrzeb hedonistycznych.

JAK BUDOWAĆ?

PROBLEM życia religijnego rodziny jest bardzo złożony, gdyż zahacza o wiele innych problemów natury społecznej, ekonomicznej, higienicznej, kulturalnej, politycznej. Uświadamianie wartości religijnych tkwiących w rodzinie powinno przypominać katolickim małżonkom prawa Boskie i kościelne dotyczące rodziny, skłaniać do wyciągania konsekwencji najdalej idących w całym życiu

praktycznym. Żyjąc pełnią wiary i miłości, małżonkowie są świadomi, że ich akt ślubny jest spełnieniem istoty samego sakramentu i jakby ćwiczeniem w doskonaleniu wszystkich cnót a w szczególności czystości i wierności małżeńskiej. Takie małżeństwo otwiera wspaniałe horyzonty duszom szczerze dążącym do szczytów życia religijnego.

Błogosławiony Pius X, zalecając codzienną Komunię św. także i małżonkom, miał przede wszystkim na myśli podniesienie życia religijnego rodziny.

Temat nadaje się do dalszego rozwijania, mnie osobiście chodziło raczej o podkreślenie go, o wykazanie, że w rozpatrywaniu problematyki rodzinnej istnieje potrzeba również i tego rodzaju rozważań.

Chciałbym, aby te moje uwagi były rozumiane w ścisłym związku ze społeczną rolą rodziny. Życie religijne rodziny nie może bowiem kształtować się w oderwaniu od świata, który nas otacza, w oderwaniu od życia społecznego, ale właśnie jak najbardziej się z nim wspaniać. Chodzi bowiem o to, że katolikowi nigdy nie wolno zapominać o tym, iż tak jak zasady naszej religii realizujemy swoim życiem w stałym kontakcie z człowiekiem, tak w swoim codziennym udziale w życiu społecznym musimy być świadomi stałego kontaktu z Bogiem.

ks. W. M.

Aktualia księgarskie

PIERWSZE miejsce tej rubryki należy się chyba „książce dnia”, „Pamiętnikom” Kazimierza Chłędowskiego. — Winniśmy dużo wdzięczności Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich, szczególnie zaś dr Antoniemu Knotowi za tak punktualne (zgodnie z wolą Chłędowskiego — w 30 lat po jego śmierci) zajęcie się rękopisem zdeponowanym w Bibliotece Jagiellońskiej. Staranne, oszczędnie ilustrowane wydanie autobiograficznych wspomnień znanego autora dzieł historycznych o kulturze włoskiej epoki Odrodzenia dzieli się na dwa tomy. Pierwszy: „Galicja”, obejmujący lata 1834 — 1870; następny — „Wiedeń” z lat 1881 — 1901. Słusznie podkreślają wydawcy wyjątkowość tej pozycji bibliograficznej w zestawieniu z nikłym udziałem Galicji w polskiej literaturze pamiętnikarskiej. Chłędowski „doskonały narrator i pisarz obyczajowy o szerokiej skali zainteresowań i talencie literackim zacięciem barwnością opowiadania i świeżością wspomnień”, dobrze się więc stało, że to on tę lukę zapełni.

Jednocześnie wydano tegoż autora „Album fotograficzne”, będące właściwie nieodłącznym uzupełnieniem „Pamiętników”. Składają się na nie kapitalne humorystyczno-satyryczne biografie niektórych „znakomitości” współczesnych autorowi.

Cieszące się zasłużonym uznaniem naukowe wydawnictwo Mieczysława Kota, które zajmuje się zagadnieniami literatury, sztuki i krytyki, wzbogaciło się w roku ubiegłym o trzy cenne książki.

Studia estetyczne prof. Władysława Tatarakiewicza, zebrane pod wspólnym tytułem jednego z nich — „Skupienie i marzenie” przynoszą, publikowane już dawniej w całości lub częściowo, rozprawy z historii estetyki, z estetyki oraz z metodologii. Niech choć same tytuły zorientują, przeglądającego te notki informacyjne, w problematycie prac prof. Tatarakiewicza: „Sztuka i poezja, rozdział z dziejów starożytnej estetyki”; Estetyka asocjacyjna w XVIII w.; „Poglądy estetyczne epoki Stanisława Augusta”; „Historia i klasyfikacja”; „Poieście typu w sztuce”; „Nauki nomologiczne a typologiczne”.

Niebywała jasność stylu i duża precyzja wyrazu sprawiają, że czytelnik nawet bez specjalnego przygotowania filozoficznego, może wziąć do ręki i ten tom, jak wszystkie zresztą książki autora, „Historii filozofii”.

„Studia literackie” prof. Stanisława Pigionia to druga już książka tego uczonego (pierwsza — „Wśród twórców”, Kraków 1947, niestety wyczerpana) wydana u Kota. Zawiera część rozpraw znanych z przedwojennego, również wyczerpanego tomu „Na wyznaczkach romantyzmu” oraz studia późniejsze, aż do ostatnich — ogłaszanych w czasopiśmie. Materiał, zebrany „z przestrzeni niemal półtora stulecia, od schyłku doby stanisławowskiej aż do rozkwitu modernizmu” łączy się jednak ściśle z okresem romantyzmu, na którym od dawna koncentrują się zainteresowania prof. Pigionia. — W „Studiach” znajdują czytelnicy karty poświęcone między innymi Mickiewiczowi, Słowackiemu, Malczewskiemu, Goszczyńskiemu, Fredrze, a wśród nazwisk zapomnianych — Michałowi Kubrakiewiczowi i R. Zmorskiemu. Tom ten zamyka rozprawa o „Kłatwie” Wyspiańskiego jako dramacie obrzędowym.

Szkoda, że „Dom Książki” tak mało troszczy się o nowe wydawnictwa: nowa książka prof. Pigionia jest w Warszawie dotychczas prawie niedostępna!

Dzięki inicjatywie prof. Mieczysława Brahmiera ukazały się również „Studia literackie” Edwarda Porebowicza. Założeniem wydawcy było zebranie w tym tomie ważniejszych rozpraw literackich, które dotychczas nie były drukowane w wydaniu książkowym. — Na łączną liczbę jedenastu, przeważnie mają studia poświęcone średniowieczu romańskiemu. Poza tym warto wymienić rozprawę „O artyzmie Möllera”, a ze studiów poświęconych literaturze polskiej — te „O „Żywych kamieniach” Berenta”, „Poezja polska nowego stulecia”, szkic mający — poza innymi — dużą wartość dokumentalną oraz jeden z nielicznych rozdziałów naszej krytyki o Sebastianie Grabowieckim.

Słuszna decyzja odrzucenia części materiału erudycyjnego, niekiedy już zastarzałego, umiejętnie skróty w tych partiach rozpraw, które już się dezaktualizowały — decydują o tym, że wspomniany tom Porebowicza, nie tracąc nic ze swej naukowej wartości, nie jest przy tym zbyt „elitarny”, tak że każdy, kto się choć trochę zagadnieniami literackimi interesuje z pożytkiem po te książki sięgnie.

Należy mieć nadzieję, iż „studia” będą precedensem do dalszego zaję-

cia się spuścizną znakomitego uczonego, tłumacza i poety. Gdyby tak na przykład wznowiono jego „Danteo”...

Państwowy Instytut Wydawniczy od samego początku odznacza się dbałością o jakość podpisywanych książek. Ostatnio, wielką radość sprawiło ukazanie się „Pism krytycznych” Antoniego Sygietyńskiego. Duży ten wybór, poprzedzony wstępem prof. Jana Zygmunta Jakubowskiego, zawiera studia o Flaubercie, Zoli i braciach de Goncourt, „Album Maksa i Aleksandra Cierymskich” oraz artykuł „Konkurs”, „uzupełniający poglądy Sygietyńskiego na literaturę i malarstwo sądami na temat rzeźbiarstwa”.

Załowac trzeba, że — mimo wszystko — nie uwzględniono studium o Alfonsie Daudet, gdyż „Pisma krytyczne wybrane” Sygietyńskiego w opracowaniu Zygmunta Szwejkowskiego (Warszawa 1932, Instytut Literacki) są dziś trudno dostępne, a ciągle zbyt mało wie się u nas o autorze „Les rois en exil”, choć dwie jego książki wydano u nas po wojnie.

I jeszcze przy okazji można się tu upomnieć o konieczne wprost wzmocnienie „Sztuki i krytyki u nas” Stanisława Witkiewicza, bo powojenne wydane jest już kompletnie wyczerpane.

Nazwiskiem autora, tytułem i... ładnie stylizowaną okładką zwraca na siebie uwagę ostatnia praca prof. Wacława Kubackiego: „Monachomachia przed sądem potomności”. Jest to już szósta po wojnie naukowa książka tego wybitnego krytyka i uczonego, z których pierwsza, „Kwyt i twórca” (Łódź 1948, wyd. Wł. Baka) należy prawie do rzadkości!

Rozprawa o „Monachomachii”, świadcząca raz jeszcze o rozległości zainteresowań autora i jego wprost niebywałej erudycji, jest świetnym zestawieniem sądów nagromadzonych wokół twórczości Xiecia Biskupa Warmińskiego. — „Monachomachia” — brzmi konkluzja prof. Kubackiego — owoc wysokiej kultury jest równocześnie utworem szczęśliwego natchnienia. Będąc dziełem uroczej sztuki nie przestaje być realistycznym obrazem życia. Wielka tradycja humanistyczna i ogromna kultura literacka księcia pośłów stanisławowskich poszły w tym poemacie w służbę żywotnych interesów narodu.”

Ziemie Odzyskane

(Dokończenie ze str. 5)

NAJWIĘKSZA stosunkowo koncentracja przemysłu na obszarach Zachodniego Pomorza powstanie w dolinie Noteci na styku Pomorza Zachodniego z województwami zielonogórskim i poznańskim. Rozwinąć się tam takie ośrodki jak Gorzów, Kostrzyn, Krzyż, Piła i Nakło, które podniosą zatrudnienie w przemyśle powiatów nadnoteckich o około 25 tys. osób. Na specjalną uwagę zasługują tutaj rozbudowa przemysłu włókien sztucznych i celulozy.

Przemysł ten powstanie w oparciu o żeglugę śródlądową ze wschodu na zachód.

Profesor dr Secomski w pracy pt. „Inwestycje w Planie Sześcioletnim” zamieszcza tabelę charakteryzującą wzrost zatrudnienia w przemyśle w wyniku rozbudowy względnie budowy nowych okręgów przemysłowych. Z tabeli tej podajemy dane odnoszące się do terenów Ziemi Odzyskanych:

Wzrost zatrudnienia w ciągu Planu 6-letniego w tysiącach:

Nazwa okręgu	
Opolski okręg przemysłowy	25
Gdański „	25
Szczeciński „	15
Wrocławski „	15
Podsudecki „	40
Nadnotecki „	25
razem	145

Jak z powyższego wynika realizacja Planu Sześcioletniego przyniesie ze sobą zjawiska odwrotne do tych jakie obserwowano na Ziemiach Odzyskanych w okresie ich nalożenia do niemieckiego organizmu państwowego, przyniesie znaczny postęp w uprzemysłowieniu, wzrost zaludnienia i zatrudnienia co w połączeniu ze zwiększeniem wydajności pracy ozna-

czać będzie w rezultacie wzmocnienie potencjału gospodarczego tych ziem i ich mieszkańców.

Granica Odry przynosząc korzyści narodom obu państw ułatwi im pokojowe współżycie i stanowić będzie dla nich zachętę do politycznej i gospodarczej współpracy.

Zygmunt Wnuczowski

Wielkie dzieło Karola Szymanowskiego

„HARNASIE”
JAKO
UTWÓR MUZYCZNY

RECENZENTOWI muzycznemu trudno pisać o tańcu. Nawet o tańcu tak organicznie zespolonym z muzyką jak „Harnasie” Karola Szymanowskiego. Każdy jednak „wysłuchany” (i przy tej okazji również... obejrzany!) balet stwarzał nową pokusę z dwóch składników muzyki, t.j. dźwięku i rytmu, zawsze byłem „mocniejszy” jeżeli chodziło

o interpretacji nie jest przypadkiem obciążony wadą, odziedziczoną po Izidorze Duncan, której przecież zarzucano, iż „dreptała Schuberta, skakała Chopina i biegała Bacha”? nie pokójce było też eliminowanie (a w każdym razie spychanie na daleki plan) strony dźwiękowej tych utworów, które zazwyczaj wybierano do tańczenia. Słynne „Allegro barbaro” Beli Bartoka w interpretacji jednej z tancerek było źródłem „zasadniczej rozmowy” z wykonawcą. „Rytm jest świadectwem żywotności” — mówiła ona. „Jego przerosł prowadzi nieuchronnie do negacji dźwięku” —

czyni. „A właśnie! — podenerwowałem się ja — właśnie Mary Wigman znana była z tendencji zastąpienia muzyki przez perkusję, nie mówiąc już o tym, że i barwę kostiumów redukowało do minimum, wprowadzając tylko pewne kolory umowne, jak np. czarny lub fioletowy”... Nie pamiętam, jak się skończyła ta rozmowa, lecz przypomniałem ją sobie dokładnie w antrakcie „Harnasiów”. I zdaje mi się teraz, że ani ona, ani ja nie mieliśmy racji.

A zresztą trudno to rozstrzygnąć, bo „Harnasie” to balet mający specjalne znaczenie. Naprzód bowiem zachwyciły Szymanowskiego balety Strawińskiego, o którym pisał, że „z fanatyzmem wyzywa się tradycyjnej szablonowej muzycznej estetyki miękkości i ładności brzmienia”. Potem przyszedł drugi etap: kiedy w roku 1920 Prof. Chybiński grał we Lwowie Szymanowskiemu melodię góralską, zdawał sobie sprawę, że rzuca posiew na żyzną glebę. Nie przypuszczał jednak, że melodię tę w 10 lat potem odnajdzie na samym wstępie partytury „Harnasiów”. Na przestrzeni tych lat Szymanowski nie tylko pogłębił swój kontakt z góralszczyzną, lecz także zaczął głosić równouprawnienie muzyki ludowej i artystycznej oraz pisał, że źródłem odrodzenia naszej muzyki może być tylko „góralskie barbarzyństwo”.

Mimo jednak decydującej roli tego „barbarzyństwa”, znać w „Harnasiach” pierwiastki romantyzmu: obrazy I i II są wybitnie nastrojowe, a nawet i w II kompozytor nieraz akcentuje liryzm motywów. Oczywiście, że taniec podkreśla znaczenie rytmu jako czynnika decydującego, ale już samo choćby wprowadzenie do baletu scen nie tylko tańczonych ale i śpiewanych świadczy o roli elementu uczuciowego. I tu miejsce na wątpliwości: właśnie w obrazie I zbyt wielka jest dysproporcja pomiędzy charakterem muzyki a tancem: muzyka andante i tranquille, a równocześnie na scenie vivace i tumultuos. Pod tym kątem widzenia najbardziej udany jest obraz II. Uwagi to dotyczą przede wszystkim scen zbiorowych, sola bowiem bardziej synchronizują z muzyką.

Gdy jednak kwestia współpracy baletu z muzyką budzi może niekiedy zastrzeżenia natury jedynie interpretacyjnej, to o stronie muzycznej powiedzieć tego, niestety, nie można. Pomijając już solo tenorowe (tego dnia nie najlepsze), największy zawód sprawia orkiestra, której czystość brzmienia pozostawia wiele do życzenia. A przecież „Harnasie” to balet poczęty i zrodzony z inwencji kompozytora, a więc muzyka stanowi w nim punkt wyjścia oraz czynnik zasadniczy, co najmniej zaś wymagający takiej samej pieczołowitości jak taniec.

Również i w „Serenadzie” Mieczysława Karłowicza „na początku była muzyka”. Muzyka co prawda młodzieńcza (opus 2), ale za to niesychnianie „tancerna”. Zwrócił już na to



„Harnasie” Odłona II —
Barbara Bitnerówna
fot. C.O.P.A.

uwagę w roku jej powstania (1897) Antoni Sygietyński, pisząc wówczas w „Kurjerze Warszawskim”, że wszystkie części „Serenady”, „odznaczają się tematami niezmiernie krótkimi i rytmiką wyszukaną”, z wyjątkiem walca, niezwykle płynnego i zgrabnie wystylizowanego. Każda część — pisał dalej Sygietyński — „zaciekawia barwnością harmonii i kalejdoskopową przemianą rytmów, które bądź wypływają kolejno jedno z drugich, bądź też zręcznie splatają się z sobą współcześnie w różnych instrumentach”. O ile mnie moja — niewielka zresztą — zdolność obserwowania kompozycji baletowej nie myli, ta właśnie ciągłość linii rytmicznej została uchwycona trafnie.

Zasluga to niewątpliwie inscenizatora i choreografa, który potrafił zespolić w jedną całość taniec i muzykę. „Serenadzie” patronował zresztą (będący symbolem dekoracji) klucz wiolinowy i pięciolina — może to właśnie przypominało wykonawcom o konieczności zachowania równowagi pomiędzy rytmem a linią melodyjną? Skoro bowiem powtarza się często zdanie Mozarta, że „melodia jest duszą muzyki”, to można do tego powiedzenia dodać, że „końcem muzyki jest rytm”. On to bowiem jest bezwzględnie tancerzem, co zespala całą strukturę utworu. Lecz tylko współdziałanie tych czynników zapewnić może wartość muzyce. I to zarówno muzyce wykonywanej przez orkiestrę, jak i muzyce wykonywanej przez zespół taneczny.

Czesław Krzewski

„HARNASIE”
SCENOGRAFA

OPRAWA plastyczna nie jest na pewno w balecie rzeczą najważniejszą. Także w „Harnasiach” można na nią przymknąć jedno oko, byle to drugie mieć szeroko otwarte na choreografię i dobrze słyszeć Szymanowskiego, to znaczy zrekonstruować go, odgrzebać spod warstw kilkudziesięciu orkiestry. Najważniejsza jest zatem — tu niestety wielki truizm — muzyka i taniec. Taniec daje muzyce przestrzeń, z absolutnego czasu sprowadza ją na ziemię, używa jej ciała i wyrazistego ludzkiego gestu. Oba te istotne składniki związane są rytmem. Takiego wspólnego węzła nie ma między muzyką a plastyką. Próby Skriabina, Laszla i Blissza połączenia dźwięków z kolorem (konstruowano instrumenty, których tonom odpowiadały rzucone na ekran barwy) nie wyszły poza stadium eksperymentów.

A poza tym balet jest dziełem wielowarstwowym, maszyną do wzruszeń działającą na wiele zmysłów. Muzyka, kolory, światło, kształty, ruch i jeszcze jakaś akcja, wątek dramatyczny — to wystarczy, aby przeciętnego widza przyprawić o zawrót głowy. A któż z nas nie jest widzem co najmniej przeciętnym, ile to razy mieliśmy okazję oglądać dobrego balet? Jak zwalczyć postawę bezradności, estetycznego sita o zbyt dużych oczach, które nie wie co łączyć najpierw: uchodzący strumień muzyki, gest tancerzy, czy zmienny rytm obrazów.

Dłatego myślę, że „scenografa baletowego” oceniać należy inaczej niż „teatralnego”. Piętnować można go tylko wtedy, jeśli przekroczy skromną rolę plastyki w balecie i da coś odświeżającego, przytłaczającego, autonomicznego i po drugie jeśli zechce stosować w scenografii źle pojętą zasadę realizmu, t. zn. da iluzję rzeczywistości a nie jej stylizację, uproszczenie, symbol z muzyczną i choreograficzną treścią dzieła.

Tych dwóch śmiertelnych grzechów uniknął autor dekoracji i kostiumów Andrzej Stopka i za to należy mu się uznanie, a nie dość powszechne zarzuty krytyków i recenzentów warszawskich, jakie spadły na głowę tego wybitnego scenografa. Że dekoracje nie były odkrywcze, że pozostawały w tyle za paryską koncepcją baletu, i że takie jakieś bez rozmachu i jakby niezdecydowane — to prawda. Ale druga prawda jest ta, że scenograf musiał walczyć z wielką płytka sceną (zauważyła to w lojalnej, rzeczowej i wnikliwej recenzji Tajanna Wysocka w „Tygodniku Powszechnym”).

Próbą rozszerzenia sceny były dekoracje do I i III obrazu „Na Hali”: dwa nachylone do siebie, stylizowane świerki, silnie pomniejszona panorama gór i wysoki pas błękitu, wszystko to rzucone na środek tła. Myśl scenografa jest jasna: wydobyć perspektywę, złudzenie głębi, przestrzenność, co podkreślono jeszcze przez to, że dekoracje nie zajmują całego tła, ale stanowią jakby okno wybite w szarości otoczenia. Hala jest kolorystycznie zimna (fiolety, błękity, zielone) i dobrze kontrastuje z czerwonymi kostiumami harnasiów.

Natomiast dekoracje do II aktu „Wesele” tracą tekturą i martwą makietą. W tej scenie tło i roztańczonej drżymy co chwila w obawie, że rozhasani harnasie na nic zdeptają niewinny chór. Także chcieliśmy zgłosić pewne pretensje co do kostiumów górali, które (kostiumy nie górali) wskutek braku jakiegoś zdecydowanego zabiegu stylizacji mają często wrażenie grupy tak świetnie prowadzonej przez choreografa.

Dekoracje do „Serenady” polegają na paru przecinających tło liniach wychodzących z wielkiego wiolinowego klucza (który zapala się i gaśnie nieczym elektryczną maszynką) — i dobrze oddaje umowność tego klasycznego baletu mówionego przez potomnych nie mogącemu się bronić Karłowiczowi.

Stefan Martha

KALI
SYLWETKI
i
zdaniem

Rozmyślania

N ASI wielu romantycy byli zdania, że głowa ich nie zabolila od przybytku wiedzy i meblowala (głowa) zarówno hojnie ilościowo, jak jakościowo. Znajrzyjmy do starego sekretarza. Oto listy Mickiewicza z Kowna. Bombarduje w nich przyjaciół o książki, książki, książki. Podobnie zacytuje się na Wygnaniu i na Emigracji. Z czasem, kiedy otrzyma katedrę w Lozannie, oszołomi kolegów erudycją. Będzie przytaczał z pamięci fragmenty, często dość długie, autorów łacińskich, porównywał z innymi i rozbiierał. „Prace najnowszych filologów są mu pysznie znane, lecz nie kieruje się nimi niewolniczo — notuje profesor Solomiac. — Czuję się, że ma się do czynienia z umysłem, który nieźmiernie dużo sobie przyswoił.”

Albo Krasiński. Ileż skarbów wiedzy potrafił ten dwudziestoczłonek — wybaczenie — smarkacz wstąpił w prozę „Irydiona”. Bez żadnej przesyady, starczyłoby na pokazną encyklopedię podręczną rzeczy greckorzymskich i chrześcijańskich. Ile erudycji, organicznej, nie na pokaz, przepelnia jego lista do Henryka Reeve, do Gaszyńskiego, Jaroszyńskiego i Koźmiana, potem do Cieszkowskiego, Delfiny i Ary Scheffera.

Albo nawet Norwid. Choć, posiadawczy przysięgłego autodydakty, w koki róg zapędziłby niejednego okrzykanego dziś łepaka.

Nie mówiąc już o Słowackim, którego rocznica śmierci — 2-go kwietnia — nasuwała nam niniejsze refleksje. W dziełach i arcydziełach Słowackiego były domorosły wpływolog łatwo wysłodzi siódme i bliższe niż siódme wody po kielisku różnych lektur i mnóstwo zapamiętań literackich. Po nitec do kłębka zachcecie przegłądać menu naszego czarnoookiego mola książkowego z Krzemienia, systematycznie przesyłane przezeń z Paryża do Pani Salomei.

I na zakończenie sprawa mniej ważna od niezbędnej erudycji, wtopionej w osobowość i dzieło pisarza, mianowicie: sprawa języka.

Mickiewicz, po „Grażynie”, wykreślił się plectyma do dziedzictwa doby stanisławowskiej i wzięwszy na warsztat ogromne bogactwo potocznej mowy pokolenia, stworzył nowożytny język polski, dobry i na codzień i do literatury. Inną drogą poszedł autor „Beniowskiego”. Czerpał on najobficiej z piśmiennictwa dawnej Polski. Subtelny smak i instynkt, nieomylny kierownik fantazji słoworodnej, zharmonizował z duchem i rozwojem naszego języka, pozwolił Juliuszowi na dokonanie wspaniałej pracy: słowa stały się nagle indywidualnymi artystycznymi, zdolnymi do wyrażenia wszystkiego, cokolwiek obudziło się w blasku myśli.

Jeżeli świeżość i szumny impet języka Mickiewicza przypomina deszcz wiosenny, posilający jarowizny, i język Słowackiego przypomina tęczę ze szlifowanych brylantów. Nie bagatelizujemy też Krasińskiego i Norwida. Czyż Zygmunta nie dopracował się własnego piękna językowego w „Noboskie” i „Psalmie Dobrej Woli”? Czyż nie jest szlachetny język Norwida „Rapsodu żalostnego”?

Ano, tak — nie wiele znaczy sam talent, niechby i genialny, nie oparty o głęboką i wórczą wiedzę i o ciągłe zdobycze w dziedzinie języka. Dziadzio Boileau twierdził wcale nie głupio w „Sztuce poetyckiej”, że pisarz najbardziej boski, ale „bez języka” — sans la langue, zastępuje tylko na miano marnego pisarza.

Konkluzja?
„Trzeba się uczyć, przeminął wiek złoty.”

Kali.



„Harnasie” — Odłona I. Od lewej Cruca, Bitnerówna i Kilińska.
fot. C.O.P.A.

o dźwięk. I choć nieraz słyszałem o tej teorii początków muzyki, która głosiła, że „na początku był rytm”, jakoś nie śpieszno mi było zająć się nim bliżej.

A występy taneczne wybitnych nawet tancerzy nie przyczyniały się do usunięcia zasadniczych wątpliwości: czy tańczenie Chopina, Rachmaninowa lub Mussorgskiego, czy w ogóle tzw. „taniec abstrakcyjny”, dopuszczający zupełną swobodę subiektyw-

mówiłem ja. „Ta jednostronność nie jest groźna, bo przecież tańcząc np. walca, tancerze poddają się i rytmowi i melodii” — odpowiadała ona. „Ale przecież „boogie-woogie” to już chyba, przyzna Pani, niewątpliwie opętanie rytmem” — odpowiadałem ja. „Ależ to muzyka „użytkowa”, a na tzw. niwie artystycznej wielu kompozytorzy współpracowali z wykonawcami, jak np. Wigman z Hastingsem!” — zaperzyła się rozmów-

» PAMIĘTNIK Z CELULOZY «

POSIEDZENIE sekcji Z. L. P. w dniu 10.III br. poświęcone było omówieniu ostatniej powieści Igora Newerly „Pamiętnik z celulozy”. Dyskusję zagał autor zaznając obecnych z tajemnicami swego warsztatu pisarskiego. Ciekawa i pouczająca wypowiedź Newerlego wzbudziła tym większe zainteresowanie, że wykazywała zupełną odrębność, a nawet przeciwstawność jego metody pisarskiej w stosunku do „bohatera” poprzedniego posiedzenia — Kazimierza Brandysa. A różnorodność dobrych warsztatów pisarskich — to rzecz bardzo pocieszająca.

Okres zbierania materiału, gdy autor, jak się sam wyraził, był czymś między detektywem a złodziejem, mimo, że wymagał wielu wysiłków, nie był najtrudniejszy. Prawdziwe kłopoty pisarza rozpoczęły się, gdy przyszło do zamieniania zebranych obserwacji na fikcję literacką. Z autentycznym materiałem o wiele trudniej sobie poradzić niż z wyobraźnią, bogactwo obserwacji kusi, a tymczasem trzeba odrzucić je mniej więcej w dziewięćdziesięciu procentach.

Rola przypadku nastąpiła autorowi również wiele trudności. O tym, jak je rozwiązał powiedzą najlepiej jego własne słowa: „Przestaliśmy się ze Szczęsnym bać przypadku i pozwoliliśmy mu działać umiarkowanie”. Wzruszające, doprawdy, jest to życie się autora z bohaterem, w które po przeczytaniu „Pamiętnika z celulozy” możemy bez zastrzeżeń uwierzyć.

W związku z zagadnieniem typowości Newerly rzucił kilka uwag ogólnych, które zyskały szczerą aprobatę zgromadzonych. Typowość nazwał soczewką, która ognisku pewne rozproszone cechy ludzkości, tymczasem, twierdził, pisarze w lęk przed nietypowością trzymali się barwy starej, jako pewnej barwy ochronnej realizmu. Każda jaskrawa plama to według nich — egzotyizm; dotyk i zapach — naturalizm; coś

przedstawione nie tak, jak się zwykłe widzi — impresjonizm. Wobec tego jedynym ratunkiem jest pokrycie wszystkiego co ludzkie szarym kolorem — to zawsze od zła uchroni. Gdy powieści zagaści się takimi postaciami typowymi to, zdaniem autora, wszystko będzie w porządku, prócz realizmu. W powieści chodzi przede wszystkim o realistyczną tendencję, której mogą służyć nawet nietypowe postaci. Wprowadzenie takiej właśnie postaci dobrego generała sanacyjnego, zawdzięcza Szczęsnemu swe pierwsze kroki w myśleniu politycznym.

Zastosowanie w powieści dwóch rodzajów narracji tłumaczył Newerly możliwością skrótów oraz wybiegania w przyszłość, które były mu w powieści potrzebne, a które dawał właśnie pamiętnik Szczęsnego.

Do zdecydowanych wrogów podwójnej narracji zaliczał się prócz Putramenta — Hamera, do umiarkowanych zwolenników — Bartelski i Helena Bobińska, która zgadzając się z tym pierwszym w kwestii pamiętnika, zarzuciła Newerlemu łatwy sentymentalizm w scenach z małą Bronią.

Drugą osią dyskusji była sprawa stosunku fikcji do autentyzmu. Niepokojąca teza Newerlego o koniecznej zgodności postaci prawdziwej i fikcyjnej słusznie ujętej ideologicznie, obok nieskrystalizowanych poglądów kilku dyskutantów, posłużyła Lucjanowi Rudnickiemu do przyznania pierwszeństwa dobrej postaci fikcyjnej jako wypadkowej wielu postaci żyjących — zrodzonej w umyśle świadomego pisarza.

W końcowej wypowiedzi Newerly bronił techniki podwójnej narracji pozostał przy argumentacji przedstawionej w zagażeniu, zgadzając się jednak (żeby użyć jego własnego zwrotu), że „coś musi być złego w tym pamiętniku, jeżeli wszyscy mają jakieś zastrzeżenia”.

J. Z.

Zbyszko BEDNORZ

KORSPONDENCJA Z KATOWIC

CZTERY DO ZERA DLA BIELSKA

W IĘC nareszcie znalazłem teatr bielski po raz drugi, tym razem w Gliwicach. W Chorzowie byłem na „Ślubach panińskich“, z którymi Państwowy Teatr Bielsko-Cieszyński objeżdżał ten teren, a kiedy zjechałem do Bielska, by zobaczyć drugą sztukę, będącą na afiszu, dowiedziałem się tam, że właśnie ową głośną czeską komedię „4:0 dla A. T. K.“ oglądają mieszkańcy miasta, wiążącego swoją chwałę ze śląską politechniką. Słowem pogoń za teatrem lub gra w ciuciubabkę. Dlatego taka ciuciubabka, że nie sposób dowiedzieć się z gazet gdzie, co i kiedy grają. Gazety, wychodzące na terenie Katowic, nie podają repertuaru teatru bielsko-cieszyńskiego, ani teatru częstochowskiego, czy o-polskiego.

Powiedziano mi w redakcji jednego z miejscowych dzienników, że jeśli pragnę wiedzieć, co się dzieje w Bielsku, Częstochowie, Opolu — powinienem zaopatrzyć się w lokalne wydania gazet śląskich, niestety, nabyć je można jedynie na... terenie Bielska, Opola, Częstochowy. „Ale prosimy do nas każdorazowo telefonować“. Zatem telefonowałem i dowiedziałem się, że 5.3. br grają w Bielsku „4:0 dla A.T.K.“ Tymczasem były „Śluby“, które oglądałem już w Chorzowie. Wróciłem późno, zmarnowałem czas. Dopiero w parę dni później złapałem Bielsko w Gliwicach.

Wydaje się, że problem zainteresowań kulturalnych nie kończy się u normalnego człowieka wyłącznie na jego mieście lub województwie. Zbyt wąską, „lokalną“ ścieżką nie do dobrze jest dreptać, bo się nie wejdzie prędko na szeroki gościniec. Zasady mutacji stosowanej przez wielkie dzienniki nie można doprowadzać do przesady, ponieważ może zaistnieć obawa pewnej „ghettowości“ życia kulturalnego. Trudniej się zorientować i poinformować co się dzieje na terenie życia kulturalnego w jednym województwie, niżeli dowiedzieć się, co się dzieje w stolicach innych, odległych województw, bo w każdym kiosku „Ruchu“ w Katowicach łatwo kupisz wrocławskie „Słowo polskie“, poznański „Głos Wielkopolski“, warszawską „Trybunę Ludu“ itp., natomiast nie kupisz wydania bielskiego czy też częstochowskiego gazet katowickich.

DWA moje spotkania z Państwowym Teatrem Bielsko-Cieszyński, w Chorzowie i Gliwicach, są o tyle ciekawe, że dają świadectwo o charakterze pracy placówek kulturalnych, operujących w naszym województwie. Rozmowa z kierownictwem potwierdza ów fakt szczególnej troski o należyte obsłużenie terenu. A teraz, kiedy zespół bielskiego teatru dysponuje potężnym autobusem i nie byle jaką ciężarówką, wożącą rekwizyty, wyjazdy artystów i personelu technicznego wraz z nieodzownym bagażem przybrały formę systematycznych, dobrze opracowanych i uzgodnionych z poszczególnymi ośrodkami odwiedzin w takich miejscowościach jak Ustroń, Żywiec, Andrychów, Pszczyna, Rybnik, Cieszyń, Wirek, Bytom, Gliwice, Chorzów. Zatem zespół ma stale na afiszu dwie sztuki. Obecnie np. codziennie w teren wyjeżdża się z „4:0 dla A.T.K.“, a w teatrze macierzystym idzie Fredro. Oczywiście równocześnie przygotowuje się dwa nowe przedstawienia. Artystów objeżdżają, wracający codziennie około 1-szej w nocy do domu, rano są już na próbach. Dzień w dzień trząść się kilka godzin w autobusie, grać często w nie dość dobrze opalanych salach, uczyć się nowych tekstów, nie zaniedbywać się w obowiązkach rodzinnych i społecznych — no, wysiłek to nie mały. Przy tym praktykuje się równouprawnienie. Nie ma wyjątków, gdy chodzi o wyjazdy. Każdy arty-

sta bez różnicy płci i wieku zawozi światło sztuki na prowincję, gdzie czeka nań świat robotniczy i młodzież. Tak ludzie teatru dawniej często marnując wiele czasu na picie i na lumpki cygańskie, dzisiaj świadomie współuczestniczą w najkapitałniejszych sprawach produkcyjnego i uczącego się społeczeństwa.

Poszczególne domy kultury (np. Woj. Dom Kultury w Katowicach), lub miasta (np. Gliwice), lub Związki Zawodowe albo Zakład Pracy (np. Huta Baildon) zakupują przedstawienia, placąc teatrowi umówiony ryczałt i starając się we własnym już zakresie o rozsprzedaż biletów. Ten system stosują także inne teatry zawodowe wyjeżdżające na prowincję; na ogół zadawała on obie strony. Strona odbiorcza zresztą jest najwięcej zadowolona wtedy, gdy spektakl odpowiada potrzebom kulturalnym środowiska.

Tutaj dochodzimy do zagadnienia repertuarowego. Teatr pod dyrekcją Aleksandra Gąsowskiego stara się układać repertuar spełniając jednocześnie dwa warunki: sztuka rozrywkowa i dzieło teatru klasycznego. Tę zupełnie słuszną koncepcję rozpoznać dość łatwo, kiedy się porównuje takie pary przedstawień jak: „Drzwi otwarte“ Turgeniewa i komedię muzyczną „Król włóczędów“ Carthy'ego, „Śluby panińskie“ Fredry i komedię sportową „4:0 dla A.T.K.“ Pawła Paszka, oraz będący w przygotowaniu Molière obok „Wodewilu warszawskiego“.

Teatr posiada zresztą tak szczególnie skompletowany zespół, że zdolny jest zadowalającą obsadzić każ-

dą pozycję repertuarową, mimo nje-dużej liczebności (tylko 33 osoby). Dobry poziom zapewniają teatrowi zarówno reżyserzy Aleksander Gąsowski, Czesław Brodzikowski i Kazimierz Fabisiak, jak i artyści, wśród których spotykamy znane i uznane nazwiska obok artystów młodych.

NIE wiemy, czy ktoś umiałby określić, jak wysoki jest stopień gry aktorskiej do wymagań publiczności, ale że tak jest, nie ulega najmniejszej wątpliwości. „Śluby panińskie“ w reżyserii Fabisiaka były inne w Bielsku, a inne widziałem w Chorzowie, choć tam i tu grał ten sam zespół. Chorzowski przedstawienie cechowało „przesada komediowości“; może dopingowała artystów w tym kierunku setnie rozbawiona publiczność, jednak wydaje mi się, dla dobra sztuki byłoby wskazane konsekwentne trzymanie się stylu gry nadanego przez reżyserię. Może ta uwaga nie dotyczy Anieli i Klary (Maria Bakka i Elżbieta Lityńska) oraz Gustawa (Bogdan Zieliński), u których, jeśli znajdował się tu i tam grzech szarżowania, to należał do kategorii grzechów lekkich. Ambitny zespół nie przerwał gry, gdy w pewnej chwili zgasło światło na scenie. Znalazły się świeczki i w takim prawdziwie zesłowiecznym, starodawnym stylu gra toczyła się dalej. Niestety, na sali była spora liczba wyrostków, którzy w ciemnościach wykazywali swoje sportowe przyzwyczajenia gwizdząc i pokrzykując jak na boisku „Gwardii“.

Dobrze, że mówiąc o teatrze mimo woli powiedziałem: sport i boisko, ponieważ i tak miałem zamiar dwa te tematy połączyć. Oto bielski teatr, pierwszy w Polsce, gra w tej chwili pierwszą u nas sztukę całkowicie poświęconą piłce nożnej. Autor jej, Paweł Paszek, Czech, wyprzedził pod tym względem wszystkich naszych dramatopisarzy, a Bielsko wszystkie inne placówki w kraju. Trzeba wyrazić uznanie dyrekcji za wybór tej sztuki, która naprawdę doskonale trafia w nadzwyczaj „usportowiony“ teren śląski, świetnie bawiąc a równocześnie oddziaływując ideowo i wychowawczo. „4:0 dla A.T.K.“ jest komedią napisaną żywo i posiadającą duże walory sceniczne. Poza aktem drugim można by pewnie sceny skrócić, strona kompozycyjna nie budzi zastrzeżeń, mimo prowadzenia akcji w trudnej, dwuplanej formie płaszczyźnie. Paszek daje w swym utworze lekcję poglądową, jak wyglądały zagadnienia kultury fizycznej w czasach, gdy sportem rządzą różni kombinatory, ciągnący wspaniałe zyski z operacji, jakie robili w zarządach klubów i poza nimi. Autor chłoszcze ciętą satyrą tych kombinatorów i przegania ich wreszcie z klubów i boisk, każąc zwyciężyć dobrze pojętej idei sportowej. Jednak to odrodzenie życia sportowego możliwe staje się dopiero w warunkach coraz konsekwentniej realizowanych założeń demokracji ludowej. Pomysłowa inscenizacja, dobra gra całego zespołu odpowiednie tempo akcji, podbudowa muzyczna — wszystko to stwarza spektakl interesujący, sympatyczny i wartościowy.

A teraz jeszcze parę spraw z Katowic. Odbijają się już u nas wojewódzkie eliminacje festiwalu sztuk współczesnych. Jest to przyczyną wielkiego poruszenia kulturalnego wśród setek artystów-amatorów, którzy stanęli do szlachetnego współzawodnictwa. Śląska Biblioteka Publiczna zorganizowała ciekawą wystawę p. t. „Dzieje mapy“, na której ukazano reprodukcje najstarszych map świata i historię rozwoju kartografiki aż do dzisiejszych czasów. Wystawę zwiedzają liczne szkoły i instytucje naukowe. W Gliwicach organizuje się państwowy teatr lekkiej komedii muzycznej. Oby powstał jak najszybciej. Jest to nader potrzebna placówka na naszym terenie.

O pożytecznym ożywieniu kulturalnym Śląska świadczy także zorganizowana przez redakcję „Trybuny Robotniczej“ narada śląskich historyków i socjologów. Konferencja stwierdziła konieczność prowadzenia szerokich i wielopłaszczyznowych badań i studiów, tak przeszłości Śląska i Zagłębia, jak i ciekawych zagadnień współczesnych. „Trybuna Robotnicza“ podaje: „Konferencję zakończyło powołanie kolegium, którego zadaniem będzie planowanie prac badawczych, ich koordynacja oraz współpraca z uniwersyteckimi ośrodkami naukowymi“. Cenna inicjatywa największego dziennika śląskiego jest słuszną i na czasie, brak bowiem ośrodka studiów humanistycznych dawał się tutaj wyraźnie odczuwać.

Zbyszko Bednorz

Z FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

P I E R W S Z Y koncert symfoniczny Filharmonii Warszawskiej zorganizowany w ramach obchodu piętnastej rocznicy śmierci Karola Szymanowskiego (29 i 30 marca) poprzedziło przemówienie przewodniczącego Komitetu Honorowego uczczenia pamięci wielkiego kompozytora, Jarosława Iwaszkiewicza.

Pierwsza część koncertu objęła I koncert na skrzypce i orkiestrę (op. 35 — rok 1916), „Pieśni miłosne Hafisa“ (op. 26 — r. 1914) i „Pieśni Księżniczki z Baśni“ (op. 31 — r. 1915). Utwory te powstałe w latach 1914 — 1916, noszą piętno ówczesnego etapu twórczości Karola Szymanowskiego, kiedy to kompozytor ulegał wpływom impresjonizmu i ekspresjonizmu. Jednakże oba te kierunki były dla niego tylko pewnego rodzaju „szatą“, w którą przyoblekał własną inwencję twórczą. Widoczne jest to zwłaszcza w I koncercie skrzypcowym, opierającym się na niustannym przeciwstawianiu prowadzącego spokojną, szeroką rozpiętą linię melodyjną instrumentu solowego — orkiestrze, mieniącej się urozmaiconą tematyką o „krótkim oddechu“. W ten sposób zastosował Szymanowski zasadniczą koncepcję „koncertu“ („concertare“ po włosku naczy „walczyć“) nie tylko do przedstawienia sobie zespołu orkiestrowego i instrumentu solowego, lecz także i do ożywających oba te czynniki nastrojów psychicznych. Choć pierwszy koncert skrzypcowy jest — ściśle rzecz biorąc — utworem programowym, jednakże program ów („Noc majowa“ Micińskiego) był dla kompozytora jedynie punktem wyjścia — tylko część nierwsza wykazuje łączność z literacką osnową dzieła.

Podobnie „Pieśni“: ich „orientalny“ rodowód polega właściwie tylko na dostarczeniu kompozytorowi impulsu twórczego. Szymanowski nie pisał m u z y k i Wschodu, lecz p r z e z y w a ł piękno egzotycznej poezji i t w o r z y ł utwory. poczęte z ducha orientального nastroju.

Do zupełnie odmiennego okresu twórczości należy „symfonia koncertująca“ na fortepian i orkiestrę (op. 60), napisana w roku 1932. Powstała ona już po „Harnasiach“, będących wyrazem n a r o d o w e g o stylu jego twórczości. Jest ona synteza dwóch dotychczas przeciwstawnych w twórczości kompozytora pierwiastków: elementu polskiej muzyki ludowej i własnej inwencji twórczej. Powodzenie, jakie zdobyła „Symfonia koncertująca“... zaniepokoiło je-

go twórcę. Pochlebna recenzja zirytowała go, gdyż — jak pisze Stefania Łobaczewska w swej książce o Szymanowskim — w głębi duszy kompozytora „czaił się prawdopodobnie niepokój, czy jego czyste intencje artystyczne nie zostały tu fałszywie zrozumiane? Czy to, co miało być środkiem do celu na nowej drodze, nie zostało pojęte jako koncesja na rzecz doraźnego powodzenia?“.

Witold Rowicki, który prowadził orkiestrę, oraz trójce solistów: Irena Dubiska (skrzypce), Ewa Bandrowska-Turska (sopran) i Zbigniew Drzewiecki (fortepian) — sprawili, że koncert stał się dla słuchaczy prawdziwym przeżyciem artystycznym. Długo niemiłkące oklaski, a także — częściowo uwzględnione — żądanie „bisów“ świadczyły, że muzyka Karola Szymanowskiego zdobyła publiczność naszych sal koncertowych i że jego twórczość stała się już — jak pisał — „siłą, której przeznaczeniem jest budzić i kształtować zmysły i dążenia do życia na wyższym poziomie świadomości“.

*

P O D O B N I E jak pierwszy, również i drugi koncert symfoniczny Filharmonii Warszawskiej (4 i 6 kwietnia) poświęcony twórczości Karola Szymanowskiego (w związku z 15-letnią rocznicą śmierci kompozytora), zawarł w swym programie dzieła, pochodzące z różnych okresów jego twórczości. Dzięki temu słuchacze mogli zorientować się w przebiegu linii rozwojowej, którą przeszedł w swym życiu Szymanowski.

Choć program ten ułożony był w porządku — o ile tak się można wyrazić — „antychronologicznym“, omawiając go przyjmujemy za punkt wyjścia utwór wykonany na końcu koncertu, tj. III symfonię (op. 27, rok powstania 1916). Pozwoli to lepiej uchwycić ewolucję Szymanowskiego i ustalić miejsce dwóch pozostałych dzieł, wykonanych podczas ostatniego koncertu, tj. II koncertu skrzypcowego (op. 61, rok powstania 1932/3), i „Stabat Mater“ (op. 53, z roku 1925/6).

Goethe mówił, że trzy są centralne problemy krytyki artystycznej: po pierwsze trzeba stwierdzić, co chciał wyrazić w swoim dziele artysta, po drugie zastanowić się, jakich do tego celu użył środków, a wreszcie — po trzecie — zbadać, czy twórca o-

siągnął zamierzony przez siebie cel. Na te trzy pytania najłatwiej odpowiedzieć, omawiając trzecią symfonię Szymanowskiego: mistyczny tekst Dżelaledina el Rumi, perskiego poety z XIII wieku, najwyraźniej świadczy o nastroju kompozytora w okresie tworzenia dzieła. Nie wystarczyła sama muzyka: aby w pełni wyrazić mistyczny nastrój twórcy, trzeba było uciec się do wprowadzenia tekstu, śpiewanego przez solistę i chór. Drugi koncert skrzypcowy — w przeciwieństwie do pierwszego, powstałego w okresie pisania trzeciej symfonii — oznacza odejście od literackości „muzyki na rzecz stopienia pierwiastków ludowości i elementów własnej inwencji kompozytora, który przestał już wprawdzie „zapisywać“ to, co tworzy lud, niemniej „pisał“ tak, jak lud tworzy. Lecz zanim powstał ten koncert, jedno z ostatnich wielkich dzieł Szymanowskiego, „w życia wędrowce na polowie czasu“ (mówiąc językiem Dantego) stworzył kompozytor swe „Stabat Mater“, w którym — z jednej strony — zawarł potężny ładunek emocjonalny, oraz — z drugiej — posłużył się skalami kościelnymi, na których opierają się bardzo często skale ludu podhalańskiego. Wyrzucił tu chciał nie „siebie samego“, lecz dramat, który od wieków stanowi źródło najgłębszych natchnień twórców wszystkich krajów.

Założenia „treściowe“ trzeciej symfonii podyktowały Szymanowskiemu wybór środków technicznych, przy pomocy których „malował“ swój nastrój. Pod tym względem trzecia symfonia jest nie tylko dokumentem założeń artystycznych twórcy, lecz także i dokumentem epoki: nie trudno bowiem przeprowadzić paralele pomiędzy skomplikowanym „mechanizmem“ kolosalnie rozbudowanej partytury tej symfonii i epoką, w której technika i mechanika stały się ośrodkiem zainteresowania ludzkiego umysłu. W „Stabat Mater“ precyzyjnie zastosował tu Szymanowski proste, choć pomysłowe środki nowoczesnej techniki homofonicznej, a każdą z poszczególnych części — dla podkreślenia dzielących je różnic — napisał na inny skład zespołu. Spłoty politonalne pomiędzy grupami zespołu, duża rozpiętość wertykalna między nimi, a także częste basowe ostinaty — wyrażają religijną kontemplację, w części piątej spotęgowaną jeszcze przez akordową recytację chóru, stwarzającą nastrój wielkopostny.

Rozdzwięk pomiędzy zamierzeniami kompozytora a środkami, jakimi dysponował, widoczny jest najbardziej w trzeciej symfonii: mimo użycia ogromnego aparatu orkiestrowego, pozostała ona — jak pisał w czasie tworzenia jej Szymanowski — taka, „jaką ją chce widzieć, w swoich marzeniach“ (zob. S. Łobaczewska: „K. Szymanowski“, str. 320). Słuchacz, jeśli nie opamięta naprzód partytury, nie odgadnie wśród zalewającej go powodzi dźwięków brzmienia tych lub owych wyrafinowanych zestawień poszczególnych instrumentów, które w mniejszym zespole natrafiłoby odegrać bardziej indywidualną rolę i stać się wyrazicielami bardziej określonych uczuć i myśli twórcy. Cóż dopiero mówić o przekazie radiowym: jeżeli trzecia symfonia została nagrana na taśmę magnetofonową (o czym zdają się świadczyć ustawione na sali mikrofony), wówczas niedługo można będzie stwierdzić, ile efektów instrumentalnych przepadnie bez śladu.

Przy pomocy znacznie skromniejszych środków muzyka „Stabat Mater“ wywiera na słuchaczach znacznie większe wrażenie, a prostota instrumentacji decyduje tu niewątpliwie o „radiofoniczności“. Tak więc, w porównaniu z eksperymentalną muzyką trzeciej symfonii, „Stabat Mater“ stanowi kontrast, świadczący o osiągnięciu przez kompozytora równowagi pomiędzy własną inwencją a środkami technicznymi, służącymi do jej wyrażenia. I dlatego właśnie „Stabat Mater“ jest — jak się zdaje — najwybitniejszym dziełem Szymanowskiego.

Spośród wykonawców, żaden nie sprawił słuchaczom zawodu. Witold Rowicki prowadził orkiestrę bardzo dobrze, Eugenia Umińska i Stefania Woytowicz wykonały swoje (bardzo trudne!) partie doskonale. Soliści „Stabat Mater“ (Maria Kunińska, Krystyna Szczepańska i Andrzej Hiolski) dobrze wywiali się z zadania, a orkiestra i chór Państwowej Filharmonii w Krakowie (zwłaszcza ten ostatni, doskonale przygotowany przez Zbigniewa Sejca, odznaczający się czystością intonacji i dykcją) zasłużyli na najwyższe pochwały. Słuchacze mieli możność usłyszenia rzadko wykonanych dzieł Szymanowskiego w najlepszym wykonaniu, a długotrwałe oklaski najlepiej świadczyły o uznaniu dla wykonawców dzieł genialnego kompozytora.

Czesław Krzewski

Nieznany dramat Choynowskiego

Obecnie Państwowy Teatr Nowy w Poznaniu przygotował nieznaną niemal zupełnie trzyaktową sztukę Piotra Choynowskiego „Ruchome Piaski”, w opracowaniu dramaturgicznym St. Hebanowskiego i J. Zegalskiego. Sztuka, wystawiona jesienią 1913 r. w Krakowie, w doborowej obsadzie z Zofią Czaplinską i Antonim Siemaszką w głównych rolach, zeszła ze sceny po kilku przedstawieniach, wywołując szereg sprzecznych

i kodeksów moralnych. Konfrontacje postaw mamy i tutaj, lecz sytuacja jest nieco odmienna. Zdeklasowane środowisko ziemiańskie nie ma żadnej utrwalonej normy postępowania. Jak ruchomy piasek usuwają się spod stóp podstawy życiowe, a wraz z nimi kanony postępowania eksobywatelskiej rodziny, vegetującej w mieście na progu eksmisji i dalszej ruinie. Autor nie widzi w tych postaciach świadomego zła; są oni dlań ni-

systemu etycznego. Okoliczności i ta jedna ultima ratio rozgrzeszają każdy zły uczynek, znieprawiają każdy szlachetniejszy. Dlatego też decyzyja najstarszej z młodych Jadwigi, godzącej się na poświęcenie dla swości pojętego dobra rodziny, nosi znamiona nie tyle ofiary, ile ucieczki przed odpowiedzialnością za życie i czyny.

Kamienicznik Przyciechowski na widok urody Jadwigi odstepuje od decyzji wyrzucenia na bruk niewygodnych lokatorów. Niedwuznacznie manifestuje swe zainteresowanie, lecz nie zamierza bynajmniej jej poślubić. Z cyniczną szerokością wyklada Jadwidze swą filozofię życiową, gdzie za trzeźwość pociągają się wuzuty ze skrupułów hedonizm. O układzie życia decyduje tam wynik mechaniki sił, wektorami tej mechaniki są mniejsze lub większe salda bankowe czy zapisy hipoteczne partnerów tej gry.

Małżeństwo córki w ustach eksziemiarki spada do roli kotwicy, zarzuconej przez rodzinny statek w przytulnym porcie. Konkubinat, do którego zmierza kamienicznik, to lanchuch nie zakończony kotwicą. Lecz i on okazuje się dobytej, jeśli pociągnie rodzinę na jakiejś mniej burzliwej wody. Takie przekonanie żywi przedstawiciel młodej generacji, Władek Wróblewski. Jest znakomitym zadatkiem na nowego Przyciechowskiego. Dżwiga już na sobie dostateczny ładunek cynizmu, brak mu tylko kapitału. Żaden skrupuł nie przeszkadza mu w raffurzeniu siostry, jeśli może to przedłużyć istniejącą egzystencję na jakiś czas. Pieniądz w świecie Przyciechowskich i Wróblewskich jest prądem wszystkich wartości i ich ostatecznym miernikiem.

Wadą wielu utworów dramatycznych jest brak niespodzianki w rozwiązaniu konfliktu. Nieraz wadliwa budowa konfliktu zdradza za wczasu widzowi jego rozwiązanie już w założeniach. Autor „Ruchomych piasków” ustrzegł się tego. Do przedostatniej sceny nie wiemy, czy Jadwiga skapituluje, czy staremu spekulantowi uda się jeszcze i ta tran-

sakcja. Niepewność ta trzyma uwagę widza w napięciu. Brak natomiast tradycyjnej kondensacji końcowego akcentu. W scenie ostatniej następuje spadek i rozluźnienie napięcia. Autor pozostawia widzowi pewną swobodę interpretacji, daje mu możliwość budowy dalszych losów bohaterów w kilku wariantach. Zdaje się dawać przez to możliwość ogrzania i rozjaśnienia ostatniego obrazu. Żłudny to jednak pozór. Czy Jadwiga zdoła w czasie podróży skłonić kamienicznika do ożenku, czy wykorzysta jedynie „ludzkie warunki” i rozjeździe się z nim po umownym okresie dwóch lat, czy wreszcie zdecyduje się na powrót do męża — zmienia się jedynie fakty jedrostkowe. Nie zmieni się sprawa zasadnicza. Nie stępczą „ruchome piaski” pod stopami Wróblewskich i im podobnych.

RZYSERSKIE rozwiązanie sztuki J. Zegalskiego poszło po linii wydatnienia konfliktu między Wróblewską i Przyciechowskim, amoralnością zdeklasowanej ambicji i antymoralnością cynizmu, zadufanego w moc pieniądza. Siła faktu konfliktu uczucia Jadwigi, rozdarcie między rzeźbiarzem, mężem, a ultymatywnymi propozycjami Przyciechowskiego zszedł na plan drugi. Jest to rozwiązanie trafne, gdyż akcentuje silniej konflikt szerszy i bardziej istotny.

Szereg ról daje aktorom w sztuce Choynowskiego możliwość wielkiej gry. Przede wszystkim należą do nich centralne postaci eksobywatelki i kamienicznika. Wróblewska Irena Detkowskiej-Jasińskiej i Przyciechowski Bolesława Rosłana utrwala się na dłuższy czas w pamięci poznańskiej publiczności. Pierwsza dynamiczna rozdygotana w ustawicznym lęku przed upadkiem, zatrzymała się na krok przed szarżą, osiągając pełną ekspresję dominanta psychicznej tej postaci — niepokój i strachu. Jeśli coś można zarzucić grze, to tylko zbyt silną nutkę mieszczańskiej małostkowości, a nawet „przekupkarstwa” w drastycznej kłótni ze służącą. Przecież Wróblewska jest ziemianką zdeklasowaną i zubożałą niezbyt

dawno. Tym niemniej jest to niewątpliwie jedna z lepszych kreacji aktorskich tegorocznego sezonu, indywidualizująca w wysokim stopniu dramat Choynowskiego.

Z niemalże historycznym rozdygotaniem głównej bohaterki kontrastował tym bardziej umiar Bolesława Rosłana. Zobaczyliśmy cynizm spokojny, wykalkulowany, świadomy swych możliwości i siły — a przez to mogący sobie pozwolić na szczerłość, na grę w otwarte karty, bez ukrywania własnych słabostek.

Trzecią z kolei rolę, Jadwigi, kreowała Teresa Waśkowska, dublująca ją na przemian z Marią Życzkowską. Jadwiga Waśkowskiej, hamletyzująca na temat własnych możliwości życiowych, była przekonującym dowodem na zatruty przyrodzonego poczucia godności osobistej w atmosferze rodzinnej i społecznej „Ruchomych piasków”. Rola ta, utrzymana w niskim na ogół diapazone uczuć, została przeprowadzona konsekwentnie i harmonijnie. Miał buntu — wahanie, miał rozpacz — rezygnacja, nad wszystkim wrażenie beznadziejności i zmęczenia, trafnie wyrażone słowem i gestem.

Hałaśliwa kokieteria młodszej siostry, Hani (Urszula Modrzyńska) nieco razila. Jeżeli brakowało czegoś początkującemu cynikowi, Władkowi (Tadeuszowi Plucińskiemu) to chyba tylko akcentów zblazowania, które uczyniłyby jego deklaracje słowne bardziej wyrazistymi. Podkreślić należy znakomity dobór aktorski w obsadzeniu ról rodzeństwa, uwydatniający podobieństwa fizyczne.

Ogólnie biorąc obsada była wyrównana, nawet w drugorzędnych rolach, jak siostra Wróblewskiej (Helena Czechowska), oraz w epizodycznych — służąca Karolcia (Stanisława Siedlecka) i lokatorka (Mila Czajkowska). Zawód sprawili jedynie dwaj amanci obu siostr. Rzeźbiarz Porębski (Marian Mirski) — niewczesną afektacją, która wpadała w groteskę, Szrajger, narzeczony Hani, — brakiem określonego charakteru postaci.

Leszek Prorok



„Ruchome piaski” — Akt I. Wróblewska (Irena Detkowska — Jasińska) i Karolcia (Stanisława Siedlecka)

ocen w ówczesnej krytyce. Przypomniał je w programowej analizie „odkrywcą” sztuki, kier. literacki Teatru Nowego, St. Hebanowski.

Autor poprzestął na tej nieudanej próbie i odszedł od pisarstwa scenicznego. W pamięci współczesnych (Choynowski zmarł w 1935 r.) pozostał autorem kilku krzepkich powieści, nade wszystko zaś nowelista.

Odkrycie Choynowskiego-dramaturga, zdławionego mimo znacznym w tej dziedzinie zdolności przez nieprzychylną krytykę, świadczy, ile możliwości teatralnych drzemie w bibliotecznych zbiorach. Realistyczny udany dramat „Ruchome Piaski” utwierdza w przekonaniu, iż w spuściznie doby „Młodej Polski”, od której stroną badacze literatury, na pewno niejedną jeszcze bomba teatralna oczekuje na swego odkrywcę.

„Ruchome Piaski” są daleko posuniętą krytyką układu stosunków społecznych. Ten charakter wiąże sztukę Choynowskiego najogólniej tak z „Rozbitkami” Bliźnińskiego, jak z „Moralnością Pani Dulskiej”, dramaturgią Bałuckiego czy Perzyńskiego. Dużo tu podobieństw do twórczości Ostrowskiego czy sztuki Czechowa. Rodzi się pytanie, czy zatem mamy do czynienia jedynie z naśladownictwem, z umiejętnym wykorzystaniem zapożyczeń w treści, w tezie, czy choćby w atmosferze utworu?

Ocena taka krzywdziłaby Choynowskiego. Fala krytycyzmu społecznego w dramaturgii europejskiej, jak zresztą w innych gatunkach literackich, wyrastała ze wspólnego dla wszystkich dzieł podłoża — z obserwacji i oceny niezadawalającej rzeczywistości społecznej, ze śledzenia rozkładu pewnych warstw. Już to samo przesądziło o podobieństwie „Ruchome Piaski” wykazują ponadto specyficzne znamiona twórczości Choynowskiego, mistrza obserwacji z jego naturalistycznymi skłonnościami. Ostrze sztuki, podobnie jak u większości wspomnianych poprzednio autorów, obrócone jest przeciwko ziemianstwu i podobnie jak u tamtych analiza rozkładu tej klasy przeprowadzona została na płaszczyźnie obyczajowej i zwyrodnienia zasad moralnych. Nastąpiło to zresztą w formie słabszej, mniej dynamicznej niż niejednokrotnie u Zapolskiej czy u M. Ostrowskiego.

Sztuce Choynowskiego brakuje pozytywnych buntowników. Brak zdecydowanego protestu przeciw zepsuciu. Słowa przekonującego sprzeciwu nie padają ze sceny w czasie przedstawienia. Postawa autora jest raczej postawą dezaprobaty niż czynnego buntowniczego wyzwania. Walor i specyficzny charakter sztuki leży w mistrzostwie szczegółu, w operowaniu realistycznym drobiazgiem w montażu i zawężeniach akcji.

W WIEKSZOŚCI sztuk spod znaku realizmu krytycznego mamy konfrontację różnych systemów

cością, bezkształtną masą piasku, który przybiera formę każdego naczynia, w jaki go wsypano. Rodzina Wróblewskich będzie tym, czym uczynią ją okoliczności. Jedyny motor, który porusza wdowę i trójkę jej dorosłych dzieci, to żądza trzymania się za wszelką, najbardziej hańbiącą cenę feudalnego, ściśle konsumpcyjnego trybu życia. Brak tu jakiegokolwiek

Ogólnopolska wystawa fotografii

DOROCZNA, druga Ogólnopolska Wystawa Fotografiki jest odbiciem szerokiego zainteresowania artystycznych ruchu fotograficznego, który z dawna uznany jest za jedną z dziedzin plastyki współczesnej.

Obok ujętego statycznie portretu, który skupia w sobie odwieczne zagadnienia charakteru i fizjonomii, ukazały się w dużej liczbie, tak nieodmienne w okresie międzywojennym, sylwetki ludzi świata pracy, w ich żmudnym codziennym trudzie, na budowie, przy maszynie, w pracowni. Bezpośrednie a narracyjne wkompowanie człowieka w środowisko, postawienie go przy warsztacie pracy, podpatrzenie najbardziej charakterystycznych gestów z nią związanych, jest dla widza zjawiskiem nowym i nowoczesnym. To, co niejednokrotnie uchyla się wyobraźni i spostrzeżaniu, jak ramię rzucające kielnią zaprawę murarską, dłoń uderzająca młotem w duto kształtujące kamień rzeźbiarski, spojrzenia uważne rybaka badającego horyzont morski, zostało skomponowane świadomie z namysłem i zamiłowaniem plastycznym. Z pośród wielu przypatrzymy się niektórym pracom: Komorowski zdecydowanie i monumentalnie nakreślił „Augustyna Krafa przodownika pracy”, Wrocławski we „wtórniku” fotomontażowym „Napród” dał pełną napięcia, w dramatycznym oświetleniu twarz górnik przy pracy świadra mechanicznego. Zdanowska, dzięki jednolitości faktury całej płaszczyzny obrazu pt. „Murarze” w technice „reliefu”, zasugerowała myślowe i fizyczne zespolenie człowieka z wykonywaną pracą.

Zacytowane przykładowo trafne poszukiwania wyrazu swoistego poszczególnych scen, gdzie człowiek jest postacią pierwszoplanową, komponowanie tego co żywe, bogate, typowe lub charakterystyczne pośród widzialnej rzeczywistości, prawie zawsze ujęte jest w ramy dojrzałej dyscypliny kompozycji plastycznej. Wystawione fotografie nie wykazują już charakteru „piękną” stereotypowego, wzorem banalnych lub przygodnych scenarii rodzajowych, wyodrębniające się zarazem od zdjęć aktualnych, prasowych czy technicznych. Tu prawem jest artyzm i dy-

daktyka, tam sucha rejestracja faktów.

Tematyka przemysłowa, podjęta m. in. przez Blochowicza w pracach bromowych o silnie kontrastowym efekcie brylowym przedmiotów, ukazała dzwonek, animalne piękno ziejących żarem maszyn. Dalej, inne jeszcze plansze fotograficzne, przedstawiające kopaczki budowlane, słony stalowe, sieci elektryczne, torowiska kolejowe itp., dały wymowę niemal poetycką, irrealną, pomimo dojmującego realnego charakteru elementów

zwyyczaj obojętnym, jest stosowana najczęściej. Fotograf podkreśla najbardziej indywidualne cechy danego człowieka, przez odpowiednią grę światłocienia i faktury. M. W. Dederko dają np. jakby rysunek sepią. Niekiedy jest to kompozycja o formacie wczesno-renesansowym jak: Dorysa „S. Szpinalski — muzyk”, Mysłakowski „Portret profesora K.” lub Naorlewicza „Portret”, który posługując się wykresem twarzy wypełniającą całą płaszczyznę dla skoncentrowania wyrazu. Dalej wi-

właściwościami materiałowymi. Konterfekty „Hille Bobbe” Fransa Halsaa, czy „Idiota z Corii” Velasqueza, lub Breughela „Stara wieśniaczka”, należą do prawdziwych wyjątków.

Natomiast specyficzna możliwość techniczna z góry predystynuje właśnie kamerę fotograficzną do uwiecznienia momentalnego wyrazu mimiki lub gestyki. Zarówno komizm jak i tragizm rysów twarzy jej sugestywność lub dynamika są niewyczerpanym polem badań badaj niernaruszonych i tematem właściwym dla plastyka-fotografa.

Na koniec pejzaż. Wystawa obfituje w motywy przyrody dramatyczne, nastrojowe i impresyjne. Piękno niekłamane i bogactwo natury przetłumaczone zostało z dużym namiętnością i wyrazem artystycznym. Talent i smak, cięłałość, humor, zmysł krytyczno-porównawczy, jakby nieświadomie spełniły swą rolę krajoznawczą i propagandową, niekiedy na modłę poważnej zabawy.

Ze sprawą pejzażu łączy się tematyka architektoniczna, reprezentowana w zaledwie kilkunastu pracach na 214 eksponatów. Niedobór ten należy szczególnie podkreślić, ponieważ zabytki naszego budownictwa, zabudowa wiejska i regionalna są czynnikami decydującymi o polskości naszego krajobrazu. Specyfika tego zagadnienia ma szczególną wymowę, ponieważ wyraża najbardziej trwale oblicze kultury narodowej w przebiegu dziejów. W aspekcie tym architektura winna być głębiej oceniana.

Reasumując, podkreślić trzeba, że realizm podejścia zdecydowanej większości fotografików jest zjawiskiem powszechnym i przemysłowym. Wystawa pozwala wysnuć pewne wnioski odnoszące się do pozostałych sztuk plastycznych. Fotografika, posługująca się fotokamerą, a więc aparatem czysto technicznym, potrafiła wlać w swe produkty świadomość artystyczną i porządkującą myśl kompozycyjną. O ilez bardziej obowiązywać powinny te wymogi w stosunku do malarstwa, grafiki i rzeźby, które często i jałże niesłusznie identyfikują sztukę z beztrojskim i niepogłębnym naśladownictwem natury.

BW



Bronisław Stapiński — Młody murarz

kompozycji. W ujęciu tym znalazła wyraz specyficzna predyspozycja autorów, którzy umieli znaleźć w liniach kierunkowych i przeciwstawnych bryłach pejzażu miejskiego frazujące wydarzenia plastyczne. Te konturowe i sylwetkowe arabeski wzbogacają nasze doświadczenia wizualne o jeszcze jedno oblicze rzeczywistości, ujrane okiem plastyka, i nie powinny być lekceważone.

Portret oficjalny jest reprezentowany na Wystawie stosunkowo nielicznie. Metoda upoważa w tle za-

dziemy swobodne sylwetki męskie lub dziewczęca a naturalne wizerunki dziecka. Wśród studiów portretowych twarz kobieca pojawia się zbyt rzadko.

W związku z tematyką humanistyczną, trzeba przypomnieć, że wśród sztuk plastycznych, zarówno rzeźba jak i malarstwo, rzadko zainteresowane były w oddawaniu jednorazowych, chwilowych stanów psychicznych. Fakt ten łączy się niewątpliwie z statycznością wymiennych dyscyplin artystycznych i ich